Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 4. Stycznia 1880 r. Tom X.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 1.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego**

Do Czytelników.

Z dzisiejszym numerem rozpoczynamy dziesiąty tom *Tygodnia.*

Pismo przebyło już młodzieńcze swe lata i stawać zaczyna na silniejszych podstawach.

Wśród opłakanych stosunków rozpoczęte, kiedy zajęcie się sprawami literackiemi, artystycznemi i naukowemi w społeczeństwie naszem zmalało do nic prawie nieznaczących rozmiarów, wydawnictwo przechodziło ciężkie walki o istnienie.

Co się tylko ukazywało przez ten czas — upadło, nie mogąc sobie zdobyć rozpowszechnienia. *Tydzień* zdołał wytrwać i przeżyć te ciężkie chwile. Trzeba było zdobywać bardzo mozolną pracą i ofiarami materjalnemi utrzymanie dla pisma.

I dziś jeszcze te warunki niezbyt się polepszyły, ale przynajmniej doszliśmy do tego, że w przyszłość spokojnie patrzeć możemy. Widocznym jest z faktów, ciągły acz powolny postęp ku lepszemu — popotrzeby umysłowe zwiększają się, i znać już świtanie lepszych czasów.

Z dotychczasowej pracy, jedno mamy zadowolenie. *Tydzień* nie był nigdzie obojętnie przyjmowanym. Miał zwolenników gorących i zaciętych nieprzyjaciół. Dowodzi to, że szedł otwartą drogą, że miał odwagę poruszać wszystkie sprawy, czy to się komu podobać miało, lub nie. Szczerość dała mu i przyjaciół i wrogów.

Głównem zadaniem *Tygodnia* jest przyczyniać się do budzenia życia umysłowego, a przecież tego osiągnąć nie można, podawaniem rzeczy bez żadnych wybitnych tendencji, bezbarwnem zgadzaniem się na wszystko. Byłoby to podobnem do ciągłego potakiwania owych chińskich figurek, które tylko w tył i naprzód głową ruszać mogą. Tymczasem jedno energiczne *nie!* więcej nieraz pobudzi do ruchu niż obojętne przyjmowanie do wiadomości, spraw wszelkich, ogół obchodzących.

W sprawach społecznych *Tydzień* podawał zawsze swe przekonania, swe myśli, bez żadnych obsłonek; i nadal tą drogą postępować będzie.

Lecz sprawy społeczne nie stanowią przeważnej części *Tygodnia.* Jestto przedewszystkiem tygodnik literacki i artystyczny, którego zadaniem dawać obraz ruchu umysłowego w tej dziedzinie. Aby temu zadaniu sprostać, *Tydzień* zamieszczał przeważnie prace naszych autorów, unikając ile możności tłumaczeń. Najznakomitsi autorowie polscy zasilali dział belletrystyczny. W każdym niemal roczniku spotkać było można imiona takie jak Kraszewski, Lam, Orzeszkowa, Litwos, Autor kłopotów Starego Komendanta, Jeż i wielu innych.

Tylko tą drogą, przez podawanie prac oryginalnych, osiąga się główny cel każdego pisma literaturze poświęconego, polegający na budzeniu zainteresowania do spraw literackich w kraju. Podawanie zdrowego i estetycznego pokarmu, wytwornych wzorów, wyrabia smak dobry i pociąga za sobą naśladowców.

Lecz jest jeszcze inna droga i inne zadanie. Pismo takie, u nas, powinno wyszukiwać i popierać nowe talenta, wprowadzać je w świat a nie opierać się jedynię na starej falandze literackiej, złożonej z ludzi znanych i uznanych w kraju. Ile można było, tyle w tym kierunku staraliśmy się działać, lecz często bardzo bezowocnie. Od pewnego czasu nastąpiła epoka, w której nic prawie wybitniejszego a nowego na niwie literackiej się nie ukazuje. Jest jakiś zastój pod tym względem, lecz nie wątpimy, że przyjdzie znowu chwila, kiedy talenta posypią się jak z rogu obfitości. Tymczasem lepiej jest dawać dobre rzeczy starych pracowników, niż mierne nowych.

Ruch naukowy w świecie, z szczególniejszą starannością był w *Tygodniu* przedstawiany. U nas szczególniej czuje się potrzeba popularnego przedstawienia tych wielkich postępów wiedzy ludzkiej, które tak olbrzymiemi krokami zdążają naprzód na Zachodzie.

Rozpoczynając nowy rocznik, przy zwiększonych znacznie siłach redakcyjnych, sądzimy, że czytelnicy zechcą nadal popierać naszą pracę.

Wydawnictwo Tygodnia Polskiego.

DZIWNE KARJERY
POWIEŚĆ
Jana Lama.

ROZDZIAŁ I.

(Opisujący stosunki klimatyczne, społeczne, gospodarskie, etnograficzne i polityczne Wielkich Księstw Milicji i Landwerji, wraz z ich przyległościami. Oprócz tego, czytelnik dowie się początku niniejszej powieści.)

Ktokolwiek albo sam niedawno opuścił szkoły, albo też ma dzieci i zwraca uwagę na postępy ich w naukach, ten z pewnością spostrzegł, że wydoskonalony przez znakomitych tegoczesnych pedagogów system nauczania w teorji jest niezrównanym, ale w praktyce zostawia pewne luki, których zapełnienie zostawione jest przypadkowi i czytaniu gazet i powieści. Nie moją rzeczą byłoby wykazywać tu braki w innych dyscyplinach, z konieczności więc tylko wspomnę, że wyłączne zajmowanie się jeografją fizyczną po dwunastu latach mozolnych studjów zostawia w umyśle młodzieńca wrażenie, iż ziemia jest kulą z masy papierowej, starannie lakierowaną i symetrycznie kratkowaną, po której, w kształcie przerywanych drobnych kresek, krążą roz-

maite ciepłe i zimne prądy powietrza i wody, i na której znajdują się rozmaite wysoczyzny i niziny, pasma gór z dolinami podłużnemi i poprzecznemi, jakoteż mniejsze i większe dorzecza—która wszelako oprócz zjawisk geologicznych i meteorologicznych wraz z ich skutkami nie zawiera nic uwagi godnego. Dzięki tej dokładnej znajomości kanwy, na której tkane są ślady istnienia rodzaju ludzkiego, tkanina pozostaje rzeczą zupełnie nieznaną, i kiedy już młodzieniec wyrośnie na męża, i zaczyna piórem lub słowem brać udział w życiu publicznem, zadziwia on nieraz ziomków swoich mniemaniem, że Monachjum leży we Włoszech, albo że Wagner urządza swoje uroczystości melodramatyczne w Bejrucie, w Syrji.

Wobec takiego stanu rzeczy autor niniejszej powieści zaledwie może przypuszczać, że dziesiątemu z pomiędzy jego czytelników znaną jest widownia wypadków, które w następnych rozdziałach odbywać się mają. Musiałby on przeto opowiadanie swoje przeplatać nawiasami i odsyłaczami, które dałyby powieści pozór uczonej rozprawy i naraziłyby go na to, że z jednej strony zniecierpliwiłby i znudził czytelnika, a z drugiej znalazłby się w niebezpieczeństwie, iż go kiedyś powołają na członka Akademji Umiejętności — tego wielkiego świecznika, przeznaczonego do demonstrowania *ad oculos*, iż łojówki jakkolwiek wysoko umieszczone na podniebiu wspaniałej sali, nie dają wielkiego światła. Lepiej więc będzie, opisać zaraz z góry w osobnym rozdziale teren powiastki wraz ze wszystkiemi jego właściwościami, a dalej dopiero iść torem przez tysiące innych pisarzy wskazanym, tj. wprowadzić dwoje ludzi, różnej płci, pragnących połączyć się węzłem małżeństwa i spotykających się z różnemi trudnościami podmiotowemi i przedmiotowemi w ciągu tego pragnienia — dać im doświadczyć na przemian wiele radości i smutku, a w końcu dać im się pobrać, albo umrzeć z rozpaczy, albo też wynaleść jaki sposób pośredni, pozwalający położyć słowo »koniec« pod ostatnim rozdziałem.

Wielkie księstwa Milicji i Landwerji leżą w strefie umiarkowanej, to znaczy, że w lecie gorąco, a w zimie zimno dochodzą tam do 30 stopni Celzjusza, reszta zaś roku bywa średnio zimną. Są to kraje rolnicze i uważane za spichlerz tej części świata; jakoteż w istocie zaledwie raz do roku odzywa się tam wołanie o zapomogę głodową.

Ustęp ten skonfiskowała c. k. Prokuratorja.

Ludność pod względem etnograficznym dzieli się podług religji. Są chrześcijanie, którzy żegnają się raz, i tacy, którzy żegnają się trzy razy — dla analogji, nazywać będę pierwszych Polakami, a drugich Rusinami— tak, jak nazywalibyśmy »ludźmi« stworzenia zamieszkujące Marsa, gdyby się udało odkryć je za pomocą jakiego olbrzymiego teleskopu. Są także Nie-chrześcijanie, pełniący funkcje Żydów. Są nakoniec różne żywioły napływowe, o których później będzie mowa.

Pod względem społecznym Milicjanie dzielą się na szlachtę, mieszczan i chłopów, jak każde społeczeństwo dobrze zorganizowane. O szlachcie milicyjskiej piszą historycy, że była kiedyś bardzo wojowniczą, że większą część życia przepędzała na koniu, i t. p. Być to może, ale jeżeli to prawda, to przyznać potrzeba, że w biegu czasów charakter i temperament tej szlachty zmienił się nie do poznania. Jest to owszem rasa niesłychanie spokojna i potulna. i w całej Milicji trudno byłoby sformować chorągiew złożoną ze szlachciców, umiejących jeździć konno. Cechą szlachectwa jest posiadanie większej przestrzeni ziemi. Kto potrafi posiąść jej tyle, co trzech do trzydziestu innych, ten zostaje grandem i staje się przedmiotem czci powszechnej — kto zaś przestaje posiadać ziemię, idzie w mieszczany. Wyjątek stanowią tu tylko grandowie, mniejsi i więksi, dla tych albowiem, skoro się zrujnują, istnieją rozmaite posady — dzięki oryginalnemu politycznemu ustrojowi kraju.

Ustęp ten skonfiskowała c. k. Prokuratorja.

Tym sposobem, zadowolenie Milicjan byłoby zupełnem, gdyby nie ta fatalna okoliczność, że przed trzydziestu laty przyłączono do ich kraju hrabstwo Sokołowskie, którego mieszkańcy uważają się za ludzi nierównie wykształceńszych, moralniejszych i bogobojniejszych od Milicjan, i widzą w tem wielkie dla siebie upokorzenie, iż w Wilkowie jako stolicy Milicji, przebywa Ober-Komisarz i Ober-Szpitalnik, podczas gdy Sokołów, miasto nie równie starsze i poważniejsze, kontentować się musi prostym komisarzem i ladajakim szpitalnikiem. Z początku Sokołowianie upominali się o osobne dwa naczelne rządy dla siebie, ale spostrzegłszy, że tą drogą nic nie wskórają, wzięli się na inny sposób i opanowali najpierw ambasadę milicyjską w Krachenburgu, stolicy Chaocji, a następnie, przez swoich grandów, zaczęli wciskać się na najwyższe posady w Wilkowie. Umieli nawet większość grandów milicyjskich przyciągnąć na swoją stronę, przedstawiając im, że Wilków jest siedzibą niebezpiecznych agitacyj, grożących upadkiem religji i społeczeństwa, a nawet, zamąceniem dobrych stosunków Milicji z Chaocją i utratą dobrej opinji w Krachenburgu. Jeden tylko jeszcze hrabia Albin Skirgiełło opierał się temu wpływowi Sokołowian na sprawy Milicji, i ku niemu też demokracja wilkowska, opuszczona przez swoich grandów spogląda z ufnością. Był to pan tak piękny, tak dawnego rodu, i tak posiadający wszystkie przymioty, które stanowią bohatera, że z przyjemnością naznaczyłbym mu pierwsze miejsce opowiadaniu, ale niestety nie mogę, a to z dwóch przyczyn. Najpierw, hrabia Skirgiełło nigdy nie zrobił nic nadzwyczajnego, a powtóre, powieść moja obracać się ma w sferach mieszczańskich, grandowie zaś, Oberkomisarze, Oberszpitalnicy i t. p. odgrywać w niej mogą tylko taką rolę, jaką odgrywają w epopei władze nadprzyrodzone, n. p. bogi greckie i rzymskie w Iliadzie i w Eneidzie.

Kiedy jeszcze Milicja i Landwerja używała spokojniejszych stosunkowo czasów, zgromadzone było towarzystwo składające się z czterech osób w dworku, położonym na przedmieściu Wilkowa. Był to dworek z gankiem zasłoniętym z dwóch stron gęstemi ścianami dzikiego winogradu. Od ulicy oddzielony był białemi sztachetami i ogródkiem pełnym kwiatów, w którym znajdowało się nadto parę drzew owocowych i cienista altanka, przyparta do parkanu, stanowiącego granicę od sąsiedniej realności. Za dworkiem były oficyny i ogród warzywny, dobrze utrzymany. Wewnątrz dworku, złożonego z pięciu do sześciu pokoików, wszystko znamionowało pewną zamożność gospodarza i wielką zapobiegliwość, skrzętność i schludność gospodyni. Było to około piątej popołudniu, i stół nakryty czerwoną w białe kwiaty serwetą, w bawialnym pokoju, świadczył próżnemi filiżankami i innemi przedmiotami tego rodzaju, że wypito właśnie podwieczorkową kawę. Po pokoju przechadzał się wielkiemi krokami jegomość o szpakowatym zaroście twarzy, w czapeczce haftowanej na głowie,

i z fajką w ustach. Jegomość ten od godziny mówił bezustannie, z wielką emfazą. Treścią jego wykładu były stosunki polityczne wszystkich państw we wszystkich pięciu częściach świata, nie dość, jak utrzymywał, dokładnie i trafnie wyświecone w trzech dziennikach, które leżały na komodzie. Wykładu tego słuchała bez widocznego zajęcia niemłoda już jejmość, siedząca na kanapie za stołem i zajęta odczyszczaniem i układaniem listków róży, przeznaczonych na konfitury. Obok niej siedziała młoda osoba, zbudowana jak łania, o dużych ciemnych oczach w tej chwili niepospolicie znudzonych, o cerze, której nawet pudr nie mógł odjąć wrodzonej świeżości, i pięknych brunatnych włosach, szkaradnie napiętrzonych i pokudłanych dla oddania hołdu modzie. Przy tym samym stole, na krześle już atoli, trzymał się bardzo sztywnie młody człowiek w czarnym tużurku, zadający sobie wszelką pracę, ażeby się zdawało, że słucha uważnie wykładu szpakowatego jegomości, że podziela znudzenie czarnookiej sąsiadki, i że wraz z niemłodą już jejmością koncentruje całą uwagę swoją na przygotowania do konfitur różanych.

Niezwykłe to rozstrzelenie uwagi ze strony sztywnego młodego człowieka w czarnym tużurku tłumaczy się tem, że szpakowaty jegomość był to sekretarz Kluszczyński, ojciec panny Natalii Kluszczyńskiej, czarnookiej szatynki, niemłoda zaś jejmość była panią sekretarzową Kluszczyńską, matką panny Natalii, i że nikt nie mógł wiedzieć, w czyjem ręku spoczywała właściwie władza w domu państwa Kluszczyńskich, podczas gdy władza nad sercem młodego sztywnego człowieka w czarnym tużurku spoczywała niewątpliwie w ręku panny Natalii. Wypadało więc być uważnym na wszystkie strony, ale nie było to łatwo. Od czasu do czasu bowiem p. Kluszczyńska, jak gdyby wywód polityczny p. sekretarza był szmerem tak mało znaczącym jak szum samowaru albo turkot powozów na ulicy, zwracała się do panny Natalii z zapytaniami odnoszącemi się do różnych szczegółów gospodarskich — albo też panna Natalia bez względu na powikłane stosunki polityczne Europy, Azji, Afryki i Ameryki, dowiadywała się co jutro grać będą w teatrze, i kiedy odbędzie się zabawa ogrodowa na dochód ochronek; jednocześnie zaś pan sekretarz, podnosząc głos, zatrzymywał się przed zakłopotanym młodzieńcem i wołał:

— Głupi chyba nie widzi tego, że w tym roku jeszcze przyjść musi do wojny między Chaocją a Beocją — w takim wypadku zaś, pytam pana, co będzie, co będzie?

Mówiąc to, p. sekretarz mierzył młodego naszego człowieka tak surowo, jak gdyby go czynił odpowiedzialnym za skutki przewidywanego konfliktu. Młody człowiek, który jeszcze nie odpowiedział był na ostatnie zapytanie panny Natalii, ratował się chwilowo tem, że poprawiał cygareto, które się było rozkleiło.

— Co będzie, pytam pana, — wołał dalej p. sekretarz, — jeżeli nas wypadki zastaną nieprzygotowanymi? Czy ambasada nasza w Krachenburgu, panie tego, zdaje sobie sprawę z tego co się dzieje? Ani mowy! Oberszpitalnik, panie tego, pojechał sobie do wód, Oberkomisarz strzela kaczki w swoich dobrach, a tu panie tego, (było to przysłowie p. sekretarza, ilekroć wpadł w ferwor) milionpięćkroćstotysięcy Laputańczyków stoi o trzy dni marszu od Plejty i powiedz mi pan z łaski swojej, dokąd my zajdziemy?

— A kto będzie sprzedawał fanty podczas zabawy? — wtrąciła panna Natalia.

Młody człowiek targany w ten sposób, usiłował ile możności przybrać minę odpowiadającą na zapytanie p. sekretarza, że nie wiedzieć doprawdy, »dokąd zajdziemy,« ale że zajdziemy niewątpliwie w jakieś straszne miejsce; a jednocześnie przypomniał sobie, kto będzie sprzedawał losy loterji fantowej w parku miejskim. Ściśle rzecz biorąc, mógłby był uspokoić p. sekretarza uwagą, że ponieważ wielkie księztwa Milicji i Landwerji uwolniły się od stu lat od kłopotów wyższej polityki, więc niechajby i pan sekretarz zostawił Chaocji i Beocji rozprawienie się z półtoramilionowym zastępem Laputańczyków nad Plejtą — ale to byłoby mogło sprzeciwić się zapatrywaniom p. sekretarza i najbezpieczniej przeto było, nie odzywać się wcale. Trudno było natomiast nie odpowiedzieć pannie Natalii, a jeszcze trudniej zdecydować się na razie, co zrobić.

Wtem, na szczęście naszego, bezimiennego dotychczas młodego człowieka, dały się słyszeć kroki i głosy na ganku, i jednocześnie prawie wpadły do pokoju dwa indywidua bardzo ożywione i zaperzone. Obydwa były średniego wzrostu i nie wielkiej tuszy, obydwa posiadały poważnie oszklone oczy, i obydwa miały twarze zakończone u dołu bródkami takiemi, jakie znamy z portretów kardynała Richelieu — a więc bródkami pełnemi przebiegłości dyplomatycznej i ogromnej mądrości stanu. Obydwa indywidua nadto miały w ręku numer dziennika, pachnący świeżem czernidłem drukarskiem — to jest, pachnący albo niepachnący, bo to rzecz gustu.

— Czytałeś, sekretarzu? — Zawołało pierwsze indywiduum.

— I wiesz, dziś wieczór odbywają naradę u Oberszpitalnika, a jutro ogłaszają zgromadzenie wyborców! — Dodało indywiduum Nr. 2.

Sekretarz wziął dziennik z rąk jednego z przybyłych, podszedł do okna, i trzymając o długość ramienia od oczu, zaczął czytać z miną człowieka świadomego tej okoliczności, że jeżeli on nie sprosta sytuacji, to już chyba nikt jej nie da rady:

— »Jutro na korzyść funduszu rzemieślników, odbędzie się w parku miejskim...«

— Nie to, nie to, — zawołała bródka dyplomatyczna Nr. 1. — Tu, niżej: »Dowiadujemy się, że grono bardzo poważnych obywateli naszego miasta zamierza stawiać kandydaturę znakomitego weterana-obrońcy zasad demokratycznych dra Ciemięgi. Nie ma wątpliwości, że wobec tej kandydatury o żadnej innej mowy być nie może.«

— I cóż ty na to, sekretarzu?

— Hm, Ciemięga dzielny człowiek i ma wiele poważania w Krachenburgu.

— Ależ uważaj, kto go stawia! Organ Skirgiełły, »*Postęp Wilkowski!*« Chodzi tu o sparaliżowanie wszystkich zabiegów, wszystkich robót demokratycznych...

— Albož były jakie roboty?

— No, nie było żadnych, ale być mogą! Czytaj tylko poniżej doniesienie: Hr. Albin Skirgiełło przybył z Schwitzenbadu do Krachenburga!

— Macie rację... ale co tu począć?

— Za kwadrans mamy się zejść wszyscy w biurze Redakcji »*Orędowniczki Wilkowskiej*.« Ułożymy listę komitetu i każemy ją zaraz wydrukować. Chodź-że prędko, sekretarzu!

— Idę, idę, sprawa publiczna wymaga tego koniecznie, Maryśka! Daj mi kapelusz i laskę. Ho, ho, jeszcze my tu w Wilkowie nie damy się arystokracji! Maryśka! Maryśka!

— Proszę pani! Syrup wybiega z rądelka! — rzekła, pojawiając się na progu, wezwana na pomoc przeciw arystokracji Maryśka. Pani Kluszczyńska pospieszyła na pomoc syrupowi, a p. sekretarz znalazłszy tymczasem sam kapelusz i laskę, wybiegł na ulicę w towarzystwie dwóch dyplomatycznych bródek. I tak naraz niespodzianie, nasz sztywny młody człowiek, uwolniony od odpowiedzi na interpelacje polityczne, znalazł się sam na sam z panną Natalią...

Sytuacja zawsze ponętna, ale często kłopotliwa.

Był to młody człowiek, słusznego wzrostu, liczący lat koło 28mu, regularnych rysów twarzy, ze zgrabnym wąsikiem, z głową krótkoostrzyżoną, oczy miał ciemne, ale bynajmniej nie tak duże, jak panna Natalia — o nie! Potrzeba było kilku par zwykłych oczu, ażeby z nich złożyć jedną źrenicę panny Kluszczyńskiej, i potrzeba było konstelacji złożonej z takich gwiazd, jakie ma Orion, ażeby w przybliżeniu oddać blask takiej jednej źrenicy. Sztywny młody człowiek miał oczy zaledwie trzeciej lub czwartej wielkości, ale jak to się czasem zdarza małym oczom, miały one pewien wyraz figlarny, który stanowił sprzeczność rażącą z sztywnością ich właściciela. Kto wie zresztą, czyli sztywność ta była wrodzoną, lub też pochodziła jedynie z tużurka angielskiego, zapiętego na przepisaną ilość guzików — jest to bowiem kostjum, w którym nawet sylf nie potrafiłby poruszać się z gracją. Nie zawadzi tu nadmienić, że nasz młody człowiek nazywał się Stanisław Wołodecki, i był z profesji pedagogiem, a z nałogu poetą.

Tête-à-tête zaczęło się od tego, że p. Stanisław zesztywniał jeszcze bardziej, spojrzał jeszcze figlarniej na pannę Natalię, i westchnął, tj. wykonał trzy czynności, nie mające z sobą najmniejszego logicznego związku, a jednak logicznie złączone z tem, co myślał w tej chwili.

Panna Natalia zerknęła na niego z pod oka, i chociaż p. Stanisław nie uważał tego, to obowiązkiem powieściopisarza jest zanotować, iż w tej chwili, jak ongi po knującej zdradę fizjonomii Wallenroda, tak

po jej twarzy »uśmiech przeleciał, blady i znikomy,« zamaskowany zręcznie zwrotem ku wazonkom, stojącym za nią na oknie. Może jaka łaskawa czytelniczka wytłumaczy czytelnikowi, co znaczy taki uśmiech przelatujący po twarzy młodej panienki w chwili, gdy znajduje się sama w pokoju z młodym człowiekiem, który trzyma się sztywnie, spogląda figlarnie, i wzdycha.

— Czy pana bardzo bawi polityka? — zagadnęła go nagle.

— Nie, nie bardzo... osobliwie gdy...

— Osobliwie gdy mój ojciec rozgada się o niej, nie prawdaż?

— Nie pani, osobliwie, chciałem powiedzieć... gdy mógłbym mówić o czem innem... z kim innym...

— Naprzykład z mamą o konfiturach?

— Jaka panna Natalia niedobra, że mię nie chce rozumieć!

— Przyznasz pan, że dotychczas nie powiedziałeś nic zrozumiałego.

— Nie potrzebuję mówić, że wolałbym rozmawiać z panią... o czemkolwiek, niż zajmować się polityką z największymi mędrcami stanu.

— Dla czngoż pan słuchałeś tak pilnie tego co tato prawił?

— Bo... bo chciałbym pozyskać jego względy.

— Na cóż panu jego względów?

— I pani mię pytasz o to!

Tak to zazwyczaj bywa w podobnych razach. Nieśmiały młodzieniec chciałby, ażeby panna zrozumiała pośrednie jego wyznania, a naiwność dziewicza żąda wyjaśnień kategorycznych, aż po półgodzinnej szermierce zapytań i odpowiedzi, ktoś trzeci wejdzie do pokoju, albo tylko skrzypnie drzwiami, i dobra sposobność przemija, czasem niepowrotnie. Była to czterdziesta sposobność, którą opuszczał właśnie p. Stanisław, i przeminęła z powodu iż p. Kluszczyńska wróciła z kuchni donosząc, iż syrup jeszcze się nie wygotował.

Zabawiwszy jeszcze czas jakiś, bohater nasz pożegnał się i wyszedł zrozpaczony.

(C. d. n.)

RÓŻNE ZABURZENIA MOWY

Alogia, Aphasia, Amnesia, Alalia.

napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

Myśl zrodzona w mózgu dla wylania się na zewnątrz musi przyjąć odpowiednią formę i wyrazić się znakiem lub mową. Mowa więc składa się z trzech odrębnych aktów:

1. Zrodzenie się myśli,
2. ubranie tej myśli w stosowną formę, i nareszcie
3. wyrażenie jej słowem, giestem lub mimiką.

Spór uczonych, czy sprawa myślenia u człowieka odbywa się niezależnie od wyrazów, czyli też przeciwnie, już jest rozstrzygnięty na korzyść zupełnej niezależności. Najlepszym dowodem są dzieci, głuchonieme od urodzenia: nabywszy pewnego wykształcenia podają one szczegóły z przeszłości swojej.

Gdy mówimy, mowa nasza ma już pewną formę i wyraża myśl, lecz tak myśl jakoteż i forma, w której się układa, może istnieć pomimo niemożności wyrażenia jej na zewnątrz. Otóż ta niezależność myśli od słowa istnieje i w stanie chorobliwym. Jeżeli zdolność myślenia będzie osłabiona lub zamącona, w takim razie i dwa następujące akta odczują to natychmiast; jeżeli drugi akt jest upośledzony, to i ostatni będzie zmodyfikowany mniej lub więcej, ale w tym razie pierwszy może być zaledwo dotknięty. Nareszcie chorobliwa zmiana dotykająca aktu trzeciego, nie prowadzi koniecznie do uszkodzenia dwóch pierwszych. Z tego widzimy, jakie mogą być odmiany w zaburzeniach mowy ludzkiej.

1. Zdolność myślenia może być upośledzona, lub zupełnie obalona,
2. myśl może być wytworzona, lecz braknie jej formy dla przedstawienia na zewnątrz,
3. nareszcie zdolność myślenia może być zachowana, myśl może przyjąć formę, lecz wyrazów nie będzie — bo organ mowy jest uszkodzony.

Gdy myśl się zrodzić nie może, naprzykład w omdleniu, w apopleksji — mowa nie istnieje. Gdy zdolność myślenia jest osłabiona jak w odurzeniu, pomieszaniu lub w idjotyzmie — następują odpowiednie upośledzenia mowy. Objawy te należą do jednej kategorji — do alogji, bo tu cierpi umysł.

Do drugiej kategorji należy afazja czyli niedomówność i amnezja, czyli utrata pamięci.

Nareszcie objawy trzeciej kategorji przezwano alalją mechaniczną, bo chory myśli, myśl swą może wyrazić gestem, ruchem lub pismem, ale mówić nie może, bo organ głosu jest dotknięty i język nie słucha woli.

Każda z tych odmian zaburzenia mowy przedstawia wypadki niezmiernie różnorodne i ciekawe.

O *Alogji* mówić nie będziemy, bo chory albo nie myśli, albo ma umysł niezmiernie upośledzony. Wprawdzie przyczyna alogji nieraz jest bardzo trudna do zbadania, ale dział ten łatwo rozróżnić od następnych. Zresztą pod względem objawów zaburzenia mowy alogja przedstawia najmniej interesu.

Druga kategorja charakteryzuje się w ogóle utratą pamięci, tyczącą się przeważnie wyrażenia myśli na zewnątrz. „Nic nie ma kruchszego nad pamięć ludzką, powiedział jeszcze Plinjusz starszy (lib. VII. §. 24), choroby, uderzenia, przestrach, mogą jej pozbawić.“ Nie ma żadnej wątpliwości, że przy utracie pamięci i inteligencja jest dotknięta, że nastąpiło osłabienie, lecz stopień tego upośledzenia oznaczyć bardzo trudno.

Są różnego rodzaju pamięci. Jeden może ją mieć szczególnie rozwiniętą w rzeczach tyczących się matematyki, drugi w muzyce, trzeci w malarstwie, czwarty w poezji, piąty w zachowaniu cech miejscowych, i t. d. Mając niezłą pamięć w jednym kierunku, można ją stracić w drugim, dlatego też i utrata pamięci może się przedstawić w różnych odcieniach, w różnych formach i stopniach.

Jedni naprzykład zapominają zawsze pewnych nielicznych wyrazów. Drudzy zapominają wszystkie słowa należące do pewnej gramatykalnej kategorji — naprzykład wszystkich rzeczowników.

Trzeci zachowują pamięć tylko jednego języka, zapominając wszystkich innych jakie posiadali poprzednio.

Inni zapominają wymawiania wyrazów, lecz mogą napisać co im potrzeba, tak jakby z pamięci ich wyszedł ruch konieczny do wydania i modyfikowania dźwięku głosowego. Mandsley miał chorego, który nosił z sobą słownik i za pomocą jego mógł się porozumieć dobrze, a nawet napisać testament tak jasno, że sąd uznał go za ważny.

Niektórzy na wszystkie pytania, na wszystkie zagadnienia odpowiadają jednem lub dwoma słowami, pozostałemi w ich pamięci; słów tych używają dla wyrażenia wszystkich myśli, zmieniając tylko intonację, lub robiąc gesta, któremi starają się zastąpić brakujące im wyrazy. Czują oni że się mylą, gniewa to ich, błagają oczyma żeby przyjść im w pomoc, i nieraz po pewnem wysileniu mogą powtórzyć lub napisać słowo, które się im podpowiada.

Są tacy co wszystko zapomnieli i na wszystko odpowiadają słowami niezrozumiałemi, nienależącemi do żadnego języka. Chora jedna, którą widziałem w przemyskim szpitalu, na wszystkie zapytania odpowiadała tylko: tabiti, tabiti... i więcej nic, starając się gestami dopełnić odpowiedzi. Ale są chorzy, którzy mówią najnieprzyzwoitsze rzeczy i nie rozumieją, że to jest nieprzyzwoicie. Trousseau wspomina o jednej damie, która gościa spotykała słowami „cochon animal, fichue bête...“ a zięć jej objaśniał, że teściowa prosi siadać. Chora Duchen'a z Buloni nie mogła wymówić żadnego słowa oprócz przekleństwa „sacré nom de Dieu“ a jednak umysł jej był tak światły, że kierowała wszystkiemi interesami handlowego domu.

U niektórych chorych nawet mimika ginie zupełnie, tak że nie są w stanie pokazać gestem jak się gra na skrzypcach, na klarnecie lub na fortepianie, jak się płacze lub śmieje.

Leczyłem dziecko, które będąc zupełną prawie niemową, raptem najniespodziewaniej dla wszystkich wymawiało jeden lub dwa wyrazy, lecz drugi raz żadną miarą tego wymówić nie mogło.

Są chorzy, którzy tylko będąc przestraszeni lub rozdrażnieni, wymawiają słów kilka, a potem gdy się uspokoją, nie są w stanie żadnego słowa wymówić. Dr. Rufz cytuje wypadek z jedną chorą, która oddawna postradawszy mowę w skutek ukąszenia jadowitej żmii, przemówiła w chwili uniesienia zazdrości; lecz mowa znowu znikła, gdy spokój nastąpił. Tu zapewnie odnieść należy wypadek z synem Krezusa, który w obec niebezpieczeństwa grożącego ojcu, odzyskał zdolność dawno utraconą i przemówił.

Są nareszcie chorzy, którzy nietylko zapomnieli mówić, czytać, pisać, ale muzyki i rysunku, a jednak rachują w umyśle dobrze i mogą grać w różne skomplikowane gry, naprzykład karty, szachy, domino — doskonale.

Z tego, tylko bardzo pobieżnego, wyliczania form zaburzeń mowy tej kategorji można widzieć, ileby tu należało zrobić działów. Jednak ze względów klinicznych mają rację bytu tylko dwa działy: *afazja* i *amnezja*.

Pod imieniem *afazji* (niedomówność) rozumieć należy utratę zdolności wyrażenia myśli słowami, a najczęściej także pismem. Afatyk traci zupełnie lub w części nietylko pamięć wszystkich lub większej części słów, ale nawet pamięć środków, za pomocą których te słowa

wyrażają się głosem, pismem, a nieraz nawet gestem.

W *amnezji* chory także traci pamięć słów, nie może mówić ani pisać, a co więcej, nie rozumie mowy, nie rozumie pisma, natomiast z łatwością powtarza każde słowo przy nim wymówione, czego afatyk zrobić nie może, lub robi z niezmiernem wysileniem. Nareszcie amnezja najczęściej jest chorobą uleczalną za pomocą kształcenia pamięci, wtedy gdy afazja w bardzo tylko rzadkich wypadkach nie prowadzi do fatalnego końca. Mózg amnetyka jestto ziemia, po której pług pracy pruje bruzdę płodonośną, wtedy gdy mózg afatyka jestto morze, po którem i okręt największy śladu nie pozostawia.

Afatyk z powierzchowności zwykle nie przedstawia nic, coby go odróżniało od innych ludzi, lub coby wskazało chorobę, którą jest dotknięty. Oko jego jasne, inteligentne, mimika wyrazista, i dopóki nie chce mówić, żaden znak zewnętrzny nie zdradza nieszczęścia, które go dotknęło.

Przedstawię teraz opisy kikku wypadków afazji, z których można będzie powziąć jaśniejsze przedstawienie o tem ciekawem zaburzeniu mowy.

Chory dra Broca umiał wymówić tylko dwa słowa „tak“ i „trzy“, ale używał ich z wielką umiejętnością, dopomagając sobie znakami.

— Od jakiego czasu jesteś pan chory?

— Trzy, — odpowiadał chory i podnosił ośm palców.

— Czy pan masz dzieci? — Tak. — Wiele? — Trzy, i pokazywał dwa palce. — Czy poznasz pan godzinę na zegarku? — Tak. — Któraż godzina? — Trzy, i pokazał dziesięć palców. — Ile pan masz lat? Oczekiwaliśmy, mówi Broca, że ośm razy otworzy obie ręce, a potem pokaże cztery palce, bo miał 84 lat. Zamiast tego, mówiąc *trzy* zrobił tylko dwa znaki. Myślałem że chory utracił pojęcie o liczbach większych nad dziesięć, lecz pomocnik mój zwrócił uwagę, że chory dobrze wie o wieku swoim i liczy dobrze, albowiem pierwszym gestem pokazał ośm palców, a drugim cztery, to jest ośm dziesiątków i cztery jednostki. Warto było sprawdzić. Powtórzyłem więc pytanie, chory odpowiedział temiż samemi znakami dodając słowo *trzy*, a widząc żeśmy go teraz zrozumieli, zrobił znak twierdzący, dodając słowo „tak“.

Drugi wypadek z kliniki profesora Trousseau. Młody człowiek, mający 30 lat, przyszedł piechotą do szpitala. W kancelarji, gdzie zapisują się chorzy nim ich odeszlą na salę, niepodobna było uzyskać od niego żadnych objaśnień. Nie mógł powiedzieć ani imienia swego, ani zatrudnienia, ani pomieszkania. Cały zapas słów jego ograniczał się na „ma foi“, a gdy był zniecierpliwiony dopytywaniem, mówił „cré nom d'un coeur!“ Dla dowiedzenia się o nim urzędnik kancelarji użył wybiegu. Powiedział mu, że ponieważ nie może ani wskazać mieszkania, ani zatrudnienia, ani powiedzieć jak się nazywa, nie będzie przyjęty do szpitala i może wracać do domu. Biedaczysko wyszedł, skierował się do warstatu, w którym pracował i przyszedłszy usiadł na kamieniu. Za nim szedł posługacz szpitalny. Koledzy poznali go i opowiedzieli, że już z rana gdy przyszedł do warstatu zauważali że Marcou mówić nie może i że ciągnie nieco lewą nogę za sobą. Chory został na nowo odprowadzony do szpitala.

Z rana, gdy go zaczęto egzaminować, nie trudno było przekonać się, że ma afazję. Gdy go pytano znowu o imię i zatrudnienie, odpowiadał „ma foi...“ Nastawałem na niego silnie, wtedy z niezadowoleniem powiedział „cré nom d'un coeur...“ Chodziło mnie o to, żeby dowiedzieć się czy chory nie ma jeszcze innych jakich słów na usługi swoje. Zapytałem więc go:

— Czy nie jesteś z departamentu Górnej Loary?

— Górnej Loary! — odpowiedział chory jak echo.

— Jak się pan nazywasz?

— Górnej Loary.

— Jakie masz zatrudnienie?

— Górnej Loary.

— Lecz pan nazywasz się Marcou?

— Tak, panie.

— Więc pan nazywasz się Marcou?

— Tak.

— Z jakich jesteś pan miejsc?

— Marcou.

— Ale to jest imię pańskie.

Wtedy chory z niecierpliwością mówił: „cré nom d'un coeur!“

Można było zauważać, że usta miał skrzywione na prawo z powodu paraliżu z lewej strony, a gdym go dopytywał co mu dolega, podjął obie ręce i poruszajac energicznie prawą ręką, patrzał ze smutkiem na lewą, która była bezwładną, chociaż nie w wysokim stopniu. Nie mogę powiedzieć żeby twarz jego była inteligentną o tyle, ile była dawniej, lecz nie miał on jak ludzie dotknięci apopleksją tego wyrazu głupoty, która uderza i zasmuca. Oprócz tego, rzecz godna uwagi, że afatycy nie płaczą tak jak apoplektycy nawet wtedy, gdy istnieje w nich porażenie kompletne.

Trzeci przykład, obserwowany przezemnie samego.

Panna C., córka kupca, 28 lat, została dotknięta połowicznem porażeniem prawej strony ciała. Utraty przytomności uie było. W kilka dni potem porażenie ustąpiło, a chora zaczęła wymawiać niektóre słowa.

Wezwany do chorej, przekonałem się, że jest to osoba dobrze wykształcona, posiadająca kilka języków, muzykę i rysunek. Była więc doskonałym przedmiotem do badania.

Chora znała dokładnie nazwę i użytek wszystkich przedmiotów ją otaczających i umiała posługiwać się niemi.

Gdzie jest pierścionek pani, gdzie są szpilki? Chora natychmiast podawała mi, a wszystko co mówiłem rozumiała, lecz potrzebowała pewnego namysłu, nim zrobiła to co jej nakazywałem. Napisałem literę *D* na papierze — nie mogła jej wymówić, ale nazwała ją *cztery*, to jest liczbą, którą litera zajmuje w alfabecie. Gdym napisał literę *K*, chora nie mogąc wymówić ani litery, ani liczby, podniosła dziesięć palców do góry dla pokazania miejsca tej litery w alfabecie.

Napisałem „usta“. — Wie pani co to znaczy? — Ruch głową twierdzący. — Proszę pokazać. — Chora podniosła palec do ust.

Pokazałem jej pióro. — Wiele liter w tem słowie? — Pięć.

Pokazałem na oko i zapytałem wiele liter w słowie? — Cztery.

— Nie! — Chora pokazała mi na jedno i na drugie oko, dając poznać, że mówiła w liczbie mnogiej.

Kazałem napisać „pióro“. Napisała: pióko, ale gestem dawała mi do zrozumienia że „pió“ napisała dobrze, a „ko“ źle. Chora więc czuła omyłki swoje.

Dałem jej książkę i prosiłem aby mi przeczytała cokolwiek.

Był to język niemożliwy do zrozumienia; mięszanina tonów bez związku i znaczenia. Chora sama się śmiała ze swego czytania, lecz gdy się jej udało przeczytać dobrze jakie słowo, natychmiast zwracała na to uwagę moją oczyma i głosem.

Gdy kazałem jej szukać liter, w których było złożone słowo „scyzoryk“, chora mogła mi pokazać tylko *c* i *z*.

Raz, w czasie wizyty, podniosłem uronioną chustkę i podałem chorej. „Dziękuję!“ wyrzekła, ale drugi raz nie była w stanie wymówić słowa tego, chociaż kilka razy powtarzałem go przed nią.

Z ksiażki do nabożeństwa kazałem jej przeczytać „Zdrowaś Marjo!“ będąc przekonany, że modlitwę tę umiała na pamięć. Chora przeczytała bardzo prędko, zrobiwszy jednak kilka omyłek, ale na pamięć powtórzyć nie mogła.

Kazałem jej napisać przy mnie kartkę do przyjaciółki, aby przyszła ją odwiedzić. Oto co napisała:

„Koceba bitali zaaro dziś noteca że zilibi odpor menut do zeno cebiti koleto zitile arnoto koło tete.“

Przepisywała jednak chora nie źle. Dodowała i odciągała w myślach i za pomocą palców, ale tabliczkę mnożenia zapomniała. Rysować z pamięci nie mogła, ale kopiowała nieźle.

Pacjentka mogła zagrać nieco ale z omyłkami; śpiewać zaś zupełnie zapomniała, gdym jednak zanucił arję z Normy, odszukała nuty i pokazała co nucę.

Gra fizjonomji chorej była w zupełnej harmonji z wypadkami. Śmiech i płacz przychodziły w chwilach stosownych. Mimika była zawsze odpowiednia.

Razu jednego pokazałem jej rysunek żyrafy. Czy zwierze to żyje w Europie? zapytałem. Chora zrobiła głową znak przeczący.

— W Afryce?

— Jest.

— A w Ameryce? — Chora podniosła ramiona do góry jak robi człowiek, który chce pokazać że nie wie.

Czwarty przykład.

Dnia pewnego przyszedł do gabinetu mego, mówi Trousseau, ajent handlowy, człowiek młody, zdrowy i przyjemnej powierzchowności. Pokazywał on mnie znakami że mówić nie może, lecz doręczył mi notę napisaną przez siebie ręką pewną, ładnie, gdzie choroba była opisana wyrazami doborowymi. Dni kilka przedtem pacjent stracił przytomność i zostawał całą godzinę w tym stanie; przyszedłszy do siebie nie czuł się nigdzie sparaliżowanym, ale utracił możność wymówienia chociażby jednego słowa. Język poruszał się dokładnie, połykanie było łatwe, a pomimo to chory nie mógł wymówić ani słowa. Odesłałem go do pana Duchenne do Boulogne, który go elektryzował piętnaście dni napróżno. Chory rzucił leczenie i w sześć tygodni przyszedł do siebie bez żadnych lekarstw. Co najciekawsze, że w ciągu tej choroby rządził sprawami swemi za pomocą pisma.

Zdaje się że do tego rzadkiego okazu afazji należy wypadek wspomniany w Pismie świętem z Zacharjaszem.

Zkąd pochodzi afazja?

Nasamprzód musimy powiedzieć, że afazja nie jest chorobą samoistną, a tylko symptomem spotykanym w wielu chorobach, w których cierpi cały ustrój chorego. I tak obserwowano ją po tyfusach i ciężkich gorączkach, w hipochondrji, histerji i epilepsji, w apopleksji, w wypadkach zranienia czaszki, po różnych otruciach beladonną, lulkiem, jadem żmij, w skutek porażenia i nareszcie w chorobach serca i naczyń krwonośnych.

Liczne sekcje pośmiertne dowodzą że przyczyną afazji są zmiany w półkulach mózgowych, przyczem zmiany w lewej półkuli są daleko częstsze jak w prawej (według Voisin'a w stosunku 340 : 6). Zwykłą siedzibą tych zmian jest zwój czołowy oraz wyspa Reila i przyległe części ciała prążkowanego, a gdy te nie są nadwerężone, to napewno istnieją wielkie anatomiczne zmiany w płacie skroniowym lub ciemieniowym, albo w obydwóch razem. Sekcje te wykazywały głównie rozmiękczenie martwiczne w następstwie zatoru i zakrzepu tętnicy rowu Sylwiusza (co najczęściej zdarza się w chorobach serca i naczyń), a daleko rzadziej nowotwory, ropnie lub wynaczynienia krwi.

Od jakości i rozległości tych zmian zależy stopień upośledzenia afatyka. Jeżeli zmiany te są ograniczone do małego obszaru mózgowego, mamy wtedy przed sobą afazję czystą i niepowikłaną, a pojętność chorego będzie najmniej upośledzona. Zmiany zaś anatomiczne rozleglejsze obok afazji pociągają za sobą także porażenia połowiczne, czasem także głuchotę i połowidztwo (hemiopia).

Jednak, przyjmując że gdy afazja jest połączona z porażeniem, pochodzi to od rozmiękczenia lub wylewu krwi, staje się trudnem objaśnienie afazji, które trwa zaledwie minut kilka lub kilka godzin i która nie jest połączona lub poprzedzona bolami głowy lub paraliżem bodajby chwilowym. W takich razach trudno przypuścić u kodzenie. Lecz jeżeli nie ma ani rozmiękczenia ani krwotoku, musi być zmiana jakaś prawdopodobnie w tej części mózgu, która jest mocno nadwerężona w afazjach skomplikowanych z porażeniem. Zmiana ta może pochodzić od chwilowych przylewów krwi, jakie to czasem widzimy w miejscach przystępnych badaniu, lub w skutek głębokiego zamięszania w krążeniu krwi w naczyniach włosowatych, które objawiają się zwykle przekrwieniem lub niedokrewnością i wywołują nadczułość tych miejsc. Z drugiej strony afazje chwilowe mogą pochodzić także od małych wylewów krwi, lub bardzo ograniczonych rozmiękczeń w czołowej części mózgu. Przypuszczając tę hipotezę musimy zwrócić jednak uwagę, że te małe uszkodzenia płatów czołowych oddziaływując tak silnie na wyrażenie myśli słowem, pismem lub gestem, nie mają wpływu wielkiego na czucie i ruch, bo nie powodują utraty ich.

U ludzi bardzo starych, u których proces miażdżycowy (atheroma) jest bardzo posunięty, chwilowe afazje mogą być objaśnione inaczej. Dr. Proust mówi o jednej starej damie, która mając tętnice ateromatyczne, dostawała co kilka godzin w przestankach jednakowych afazję mniej lub więcej kompletną z dodatkiem mrówienia i osłabienia członków z prawej strony. Najprawdopodobniej w tych chwilach robiły się w tętnicach mózgowych już chorych małe zatory; objawy zaś afazji nikły natychmiast, jak tylko urządzała się cyrkulacja krwi boczna.

Jak objaśnić sobie u afatyka raptowne przypomnienie słowa lub całego wyrażenia, które potem już powtórzyć po raz drugi nie jest w stanie?

Objaśnienie to zdaje się być dość łatwem, jeżeli zbadamy samych siebie. Któż nie doświadczył, że pod wpływem namiętności i ekscytacji mózgowej, którą ta sprawia, często nie jesteśmy w stanie uregulować myśli naszych i ocenić słów. Wtedy to nieraz wyrywają się wyrażenia, których potem żałujemy. Toż samo zachodzi u afatyków. Z drugiej strony przypomnijmy jak postępujemy gdyśmy zapomnieli pisownią jakiegoś słowa. Otóż w takich razach najlepszy środek przypomnienia jej sobie jest napisanie słowa tego prędko, nie myśląc o niem, automatycznie. A któż nie doświadczył, że słowo nieraz bardzo starannie szukane w pamięci, niespodzianie przychodzi na myśl, właśnie wtedy gdyśmy o niem myśleć przestali. U afatyków zachodzi toż samo co i u zdrowych, bo czego nie mogli powiedzieć pomimo starań największych, wypowiedzieli potem automatycznie, bezwiednie. Znaliśmy afatyka, który wymawiał tylko dwa słowa: „wszyscy" i „zawsze". Otóż można go było pobudzić do powiedzenia czego więcej, podsuwając mu frazesa zaczynające się od „wszyscy" lub „zawsze". Chory wymawiał: „wszyscy profesorowie, wszyscy ludzie, zawsze taki"; wtedy gdy nie mógł wymówić słów: „profesorowie, ludzie, taki".

Że umysł afatyka jest osłabiony, nie ulega żadnej wątpliwości, lecz w jakim stopniu chory utracił inteligencję, oznaczyć niezmiernie trudno. Gdy są głębokie zmiany umysłowe — rzecz inna; ale w zaburzeniach lekkich, ocenienie stanowi trudność niezwykle wielką, bo między człowiekiem wyższych zdolności, a człowiekiem pospolitym, różnica w życiu często jest niedostrzeżona, a jednak ta różnica jest bardzo wielka. Malarz pospolity może zamyślić obraz tak piękny jak Michał Anioł, lecz gdy przyjdzie do spełnienia pomysłu, pęzel odmówi mu posługi. Otóż człowiek świetnego umysłu dotknięty lekką chorobą mózgową, może mieć sąd zdrowy, zachowanie się pełne taktu, i tylko wtedy da poznać osłabienie, poczuć apopleksję, gdy przyjdzie do wykonania jakiegoś czynu wyższego.

Na podaniu chorego nie należy polegać, bo afatykom najczęściej się zdaje, że mają sąd najtrafniejszy o wszystkiem, wtedy gdy w rzeczy samej wyobrażenia ich są nieco pomięszane, a pojętność w skutek choroby mózgowej, upośledzona.

Jaki jest zwykły los afatyków?

Doświadczenie poucza, że cierpienie to mając źródło w rozmiękczeniu mózgu lub w innej modyfikacji nie mniej niebezpiecznej, bardzo tylko rzadko ustępuje w zupełności; owszem najczęściej pogórsza się znacznie i pociąga za sobą zupełną utratę mowy i upadek umysłowy. Jeżeli w afazji ma nastąpić polepszenie, powinno stać się to prędko, bo w przypadkach dłużej trwających rokowanie w każdym razie jest niepomyślnem, z wyjątkiem afazji polegającej na cierpieniu kiłowem. Najlepiej rokować można w krótkotrwających przypadkach afazji, powstałych u osób młodszych, zresztą poprzednio całkiem zdrowych, zwłaszcza powstałych skutkiem uderzenia, a najgorzej u osób wiekowych, u których dla sprawy miażdżycowej napady udaru ponawiają się, a każdy napad obok porażenia pociąga za sobą coraz większy upadek umysłowy i coraz większe przytępienie pojętności.

Jeszcze jedno pytanie: zkąd pochodzić może, że zmiany chorobowe przy afazji dotykają najczęściej lewej półkuli mózgu?

Otóż najprawdopodobniejszem objaśnieniem tego faktu jest rozkład naczyń krwionośnych, idących do mózgu. Według praw fizycznych, gdy kolumna płynna z większych kanałów przechodzi w mniejsze, prędkość ruchu płynu zmienia się proporcjonalnie, w stosunku prostym do parcia, a w odwrotnym do tarcia płynu o ściany kanałów. Otóż każdemu wiadomo, że wtedy gdy z prawej strony gałęź aorty (tętnica bezimienna) służy za komunikację z korotydą czyli z tętnicą senną; z lewej strony krew tętnicza przechodzi wprost i nagle do tętnicy sennej lewej. Zastosowując prawa fizyki do fizjologji, czynność w krążeniu mózgowem z lewej strony jest daleko żywszą jak z prawej. Być może ztąd też pochodzi większa siła członków prawej strony ciała i ich rozwój, bo nerwy krzyżują się w mózgu, a nareszcie ztąd zapewnie pochodzi także większa zdolność do krwotoków mózgowych z lewej jak z prawej strony. (D. n.)

KORESPONDENCJE.

Paryż d. 20 grudnia.

W polityce i literaturze francuskiej, kobiety grały i grają przeważną rolę.

Twórczością nie odznaczały się one nigdy, lecz działały jak duchy ożywcze w literaturze, a jak zakulisowe sprężyny w polityce.

Salony literackie i polityczne, mają we Francji historję bardzo ponętną. Pierwszy z nich miał siedlisko w hotelu Rambouillet, jeszcze w 1624 r. a 35cioletnia w onczas właścicielka dała prawdziwe początki wytwornej i pełnej galanterji rozmowy, która przeciwdziałała grubym, cynicznym słowom w ustach arystokracji i na kartkach dzieł literackich.

Literacko-polityczne salony pojawiły się potem bardzo licznie i nosiły różne nazwy jak, *ruelles, réduits, alcoves*. Niektóre z nich stanowiły epoki jak np. pani Scuderi w XVIItym, księżny de Maine w XVIIItym wieku. Wtedy doszły one do kulminacyjnego punktu i do grona biesiadników należeli królowie i książęta udzielni. Opisując salony owych czasów Fontenelle powiada, iż były to jedyne domy zabezpieczone od gry w kości i w karty, jedyne gdzie rozmowa rozwijała i oświecała umysły.

W salonie M-elle Lespinasse pierwsze się wytworzyło zebranie encyklopedystów z D'Alembertem na czele.

Gdy rewolucja zbliżała się, salony zaczęły upadać i gry oraz zepsucia wcisnęły się na miejsce dawnych igrzysk umysłowych. Morelli pisał o nich, „że się tam dzieją takie rzeczy, że grom powinien by w nie uderzyć ze sto razy, jeżeliby niebo zwracało na nas swą uwagę!"

Rewolucja przerwała wszelką zabawę, a potem pomimo prób rozmaitych nigdy salony nie zdobyły sobie dawnego stanowiska.

Po ostatnim rozgromie Francji i usunięciu Napoleonidów, salony zaczynają się pojawiać na nowo i jest ich dzisiaj kilka bardzo ożywionych i o różnych odcieniach politycznych.

Pierwsze miejsce między kobietami-politykami zajmuje pani Arnaud l'Arriège, córka Guicharda b. prezydenta komisji budżetowej

a siostra znanego towarzysza i współpracownika Lessepsa. twórcy Suezkiego kanału.

Pani Arnaud otrzymała w spadku 30 milionów franków, kupiła sobie ogromną ilość domów w Paryżu, wspaniałe dobra i pyszny zamek w Szwajcarji.

Mąż umarł parę lat temu, zostawiwszy syna, który jest sekretarzem Gambetty.

Kobiety Paryża prowadzą śmiertelną wojnę z wszystko niszczącym czasem i w tej walce tak się wyćwiczyły, że nieraz zwycięstwo jest po ich stronie. Któraż nie zna owej sławnej pani Richard, która jak czarodziejka wygładza wszelkie zmarszczki i przywraca skórze blask młodzieńczy, a twarzy nadaje rysy pełne świeżości, ustom wdzięk dziewiczy a oczom zapał anielski. Nic dziwnego, że w Paryżu jest tyle kobiet zupełnie się nie starzejących. Pani Arnaud należy do ich rzędu. Ma już lat 50, a jednak niktby jej nie dał więcej jak 35. Okoliczność ta daje podstawę plotkom tego rodzaju, jak że np. Gambetta chce się z nią ożenić. Dyktator jest jednym z bardzo pilnych gości salonu pani Arnaud.

Nie jest ona ani literatką, ani artystką, lecz poprostu zdolną osobą, która święcie wierzy w powodzenie republikańskiej formy rządu, w geniusz głównego aktora Gambetty i to właśnie, w połączeniu z olbrzymim majątkiem, zdolnością zainteresowania swych gości i kierowaniu ogólnej pogawędki, stanowi całą tajemnicę jej powodzenia. Gambetta, zamknięty zwykle w sobie i mało się udzielający w ostatnich czasach, tutaj staje się szczerym, krzyczy, rozpowiada, gestykuluje i wszyscy, komu zależy na poznaniu myśli i tendencji prezydenta izby deputowanych, pukają do drzwi pani Arnand i wychwalają gospodynię.

Inny salon paryski, posiadający równe poprzedniemu znaczenie należy do pani senatorowej Adam znanej w literaturze pod imieniem Julietty Lamber. Wiekiem bardzo mało różni się ona od swej współzawodniczki pani Arnaud, lecz jest od niej znacznie piękniejszą. Pochodzenia jest żydowskiego a majątek na giełdzie ma swoje źródło. Ma przepyszny pałac w środku miasta przy Hausmanowskim bulwarze, daje wyśmienite kolacje i obiady, zaprasza wyszukane towarzystwo dam, należących do arystokracji pieniężnej i rodowej, słowem dobiera doskonałe towarzystwo. Ściąga to do niej najlepsze siły artystyczne i literackie Francji. Redakcja „Temps“ jest zawsze w komplecie. Dawniej Gambetta był bohaterem wieczorów — dziś pojawia się rzadziej — niewdzięcznik! A przecież zawdzięcza Juliecie tak wiele. Ona to uczyła kawiarnianego oratora o zamaszystych ruchach i stentorowym głosie dobrych manier i towarzyskiego układu. Nieraz gdy orator na trybunie zbytnio się zapalił i wymachiwał rękami jak skrzydłami wiatraku, a po pulpicie bił kułakiem, że prawie drzazgi leciały, jedno ostre i przenikliwe spojrzenie pani Adam z galerji zdołało go uspokoić jak baranka i znowu przybierał układ bardziej klasyczny.

Dziś w salonie pani Adam jeszcze większe niż pierwej ożywienie. Pani domu z bulwaru Haussman objęła redakcję dwutygodnika „Revue nouvelle“, który ma usunąć dawną i przestarzałą Revue des deux Mondes. Wskutek tego ruch tam niezwykły.

Najbardziej energiczną i najzdolniejszą z politycznych dam Paryża jest wicehrabina de Brismont a niegdyś narzeczona Emila Girardina, redaktora dziennika „France“. Salon przeszedł do wikontessy od matki, która stała blisko bardzo dworu Napoleona III. Apartamenta jej posiadają przepyszne zbiory autografów najznakomitszych ludzi, jak Marji Szkockiej, Darnleya, Filipa drugiego, Katarzyny Médicis i t. p. Daudet opisując panią de Brismont powiada, iż „jest to sprytna kobietka, karmiąca szaloną namiętność do polityki“. Wieczory u niej były dawniej znane pod nazwą, „obiadów w trójkę“, bo do niej co dzień prawie przyjeżdżali Gambetta i Girardin. Na zebraniach wieczornych spotykali się tu razem i radykaliści republikańscy i zagorzali bonapartyści. W czasie oblężenia Paryża pani Brismont grała znaczną rolę w Londynie, urządzała tłumne mityngi na korzyść Francji, a potem starała się złączyć we Francji partją socjalistyczną z imperjalistami. Wtedy umiarkowani republikanie usunęli się z jej salonu a natomiast świecić one zaczęły potęgami finansowymi, bez wybitnego kierunku. Ci co rządzą obecnie Francją, zapomnieli o dawnem swem miejscu schadzek.

Wyłącznie prawie literacko-artystyczny salon prowadzi pani Rouvier znana w literaturze pod pseudonimem Claude Vignou. Wydała już w życiu swojem mnóstwo romansów; niektóre z nich jak „Un naufrage parisien“, „les Complices“, „Revoltée“ doczekały się rozgłośnej sławy. Wszyscy znają jej korespondencje do *Indépedence Belge*. W przeciwstawieniu do wszystkich sławnych dam, polityków w Paryżu pani Rouvier nie jest wdową i posiada rzeczywistego żyjącego męża, który zasiada na ławkach izby deputowanych i tam od czasu do czasu słyszeć się daje, lecz natomiast niknie zupełnie w gwarze salonów swej własnej żony, które jakby jaka galerja, zastawione są dziełami sztuki nowożytnej i starożytnej, wykopaliskami i t. p. przedmiotami.

Oto są wszystkie główne postacie żeńskie, które obecnie są związane z życiem artystycznem i politycznem Francji.

Na salony duch czasu nakłada swoje piętno, jak i na wszystko inne. W początkach damy przysłuchiwały się rozmowom robiąc robótkę, w sto lat później pisały lekkie literackie rzeczy, a dziś polityką, mówią o giełdzie z równem zajęciem jak o sprawach sztuki lub literatury.

A. M.

SONET.

Sławo! o sławo! ty szczęście w ułudzie,
Ty marny dymie, co odurzasz mózgi,
Widziałem przecie, w jakim serca brudzie
Wiązano nieraz twe laurowe rózgi.

Niegdyś, za jeden twój uśmiech, zmiennico,
Byłbym m· życie ofiarował chętnie, —
Kiedym cię widział przeczystą, dziewicą,
Kochałem — wierząc jak w Boga namiętnie.

Dziś, kiedy widzę żeś jest do sprzedania,
Dziś gardzę tobą — nie chcąc być płacony
Twoją miłością, łatwą do zyskania.

Ja chcę żyć wiecznie — lecz nienagrodzony,
Żyć w każdej piersi, nieznany, ukryty.
Laur najpiękniejszy z kwiecia serc uwity.

Bolesław Ładnowski.

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora Kłopotów Starego Komendanta.

WSTĘP.

Z góry się zastrzegam przeciw wszelkim pretensjom, z jakiemi z tytułu powyższego napisu chcianoby się do mnie przyczepić. Wiem i uznaję to, że nasza Galicja a przedewszystkiem wschodnia jej połowa, gorliwie zajmuje się hodowlą tych zwierząt rogatych zwanych wołami, którym nadawszy ile możności przyzwoitą powierzchowność, wysyła je na pożytek Niemców do Wiednia. Pod względem więc traktowania tej sprawy z całą znajomością przedmiotu, ustępuję pierwszeństwa c. k. galicyjskiemu towarzystwu gospodarskiemu i innym władzom pracującym nad polepszeniem dobrobytu austrjackiego, tembardziej, że w ostatnich czasach, piekąca ta kwestja wołowa dostała się już do ministerjum i na stół wysokiej Izby poselskiej w Wiedniu.

Nie zważając na to, że bardzo często nie godzę się (nota bene w myśli) z zapatrywaniami inteligencji naszej na przyszłe losy Galicji, jednak przyznaję, że teraz kiedy szło o taką przyszłość bydła rogatego, rzecz została dokładnie przedyskutowaną, z całą świadomością wszelkich humanitarno-hygienicznych przepisów i o szpitalach czyli zakładach kontumacyjnych dla bydła, i o weterynarzach i szkole weterynaryjnej, o przewozie o środkach leczniczych i innych warunkach zdrowego a wesołego rozrostu tych zwierząt. Nawet dla ochronienia ich od złego towarzystwa z małocywilizowanemi sąsiadami ze stepów, zdecydowano zamknąć granicę dla tych ostatnich, aby czasami nie wniosły tu nihilistycznej zarazy zwanej księgosuszem.

Jedna tylko okoliczność, a raczej pewien fawor dla opasów odgrywających bądź co bądź rolę arystokratów między bydlętami, dla których wyłącznie te wszystkie zabiegi są poświęcone, mogłyby mię zniewolić do wzięcia w obronę biednych wołów roboczych, o których wcale nie było mowy. — Mógłbym, gdybym już koniecznie chciał szukać sławy, czyli guza na tem polu, zaagitować zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia towarzystwa opieki nad zwierzętami, a przedstawiwszy mu dotykalnie wszystkie zepsute karki zapomnianych ulubieńców galicyjskich, pokazawszy te narzędzia tortury, owe odwieczne jarzma, w które się dotąd nasze woły zaprzęga, możebym wyjednał wystósowanie memorjału do wysokiego sejmu krajowego, aby podobnie jak dla kóz i świstaków, ryb i ptaków, uchwalił nową ustawę bydlęcą dla ochronienia wołowych karków od barbarzyńskiego jarzma. Wszystko to powtarzam, mógłbym, gdybym miał odwagę cywilną do kandydowania na wielkiego człowieka, a przytem dar zwoływania zgromadzeń, organizowania stowarzyszeń i zakładania dla nich specjalnych organów... Lecz ponieważ tego wszystkiego nie mam i nie cieszę się reklamą prasy miejscowej, — zatem z boleścią serca daję temu pokój i biorę się do rzeczy mniej głośnej, to jest do studjów innych stworzeń Boskich, mniej uprzywilejowanych od zwierząt, to jest do wołów roboczych ludzkich orzących przez całe życie dla pożytku i uszczęśliwienia innych. Chodzą oni także w jarzmie, w które ich wyzysku-

jąca strona bez litości ubiera, a których odszukać bardzo łatwo we wszystkich stanach, we wszystkich zajęciach i we wszystkich miejscach.

Moje woły robocze, zwykle nie mają rogów (chyba czasami małżeńskie). Są tak samo jak ich pierwowzory bardzo łagodnego temperamentu, cierpliwości niesłychanej i prawdziwie wolej wytrwałości. Za młodu czasami brykają, ale to bardzo niewinnie, lecz za to kiedy się włożą do pługa, z całą uległością dają się zaprzęgać w każdej chwili, a małe dzieci nawet mogą niemi powodować. — Naturalnie, że w takich okolicznościach rzadko kiedy utyją, że mają fizjonomię zamyśloną, a przy końcu życia dla braku czasu uczą się przeżuwać po nocy to, czego w dzień nie mogli spożyć.

Woły robocze ludzkie, dzielą się zwykle na dwa wielkie działy: Wołów roboczych familijnych i wołów roboczych publicznych. — Każdy dział ma znów swoje rodzaje, rodzaj gatunki, a gatunek odmiany. Pragnąc moje studjum uczynić ile można dokładnem, muszę traktować każdy dział po porządku; zaczynam więc od pierwszego:

Dział familijny.

Charakterystyczne cechy tego działu są: niezwykła tkliwość serca przechodząca z wiekiem w ślamazarność, — wzrok krótki, nie sięgający dalej po za familię, wygórowane pojęcia, zwykle nabyte, o obowiązkach rodzinnych — nieskończona miłość wszystkiego co swoje — zamiłowanie spokoju i nieograniczona wiara w wielką przyszłość familji.

Dział ten rozpada się zwykle na cztery rodzaje wołów roboczych, a te reprezentują: a) wół roboczy ojciec, b) wół roboczy mąż, c) wół roboczy syn i d) dość rzadki jednak w Polsce częściej spotykany wół roboczy opiekun.

Liczę na pobłażanie czytelników, że nie będą wymagać abym zapuszczał się tutaj w dalsze rozgatunkowanie tych rodzajów, które musiałoby dotknąć wszelkich stanów i położeń socjalnych, wśród których każdy pojedynczy okaz przebywa. Zadaniem obecnych szkiców moich jest tylko rzucenie ogólnych podstaw do tak zajmującej i wielce ciekawej nauki o wołach roboczych ludzkich, zatem pozostawiając innym rozwijanie w tym kierunku dalszych badań, poważę się przedstawić wynik długoletnich obserwacji moich nad obyczajami i zwyczajami niektórych osobników, i zaczynam od ojca.

I.

Wół roboczy - Ojciec.

Pierwszeństwo w tym rodzaju należy się szlachcie wiejskiej, raz że najwięcej ma ona rysów charakterystycznych odziedziczonych po przodkach, — powtóre że z konserwatywną zaciekłością pielęgnuje dotąd swoją rasę, co właśnie do badań moich najwięcej się nadaje.

Weźmy naprzykład takiego pana Jacka z Bocheńskiego, który wagonem trzeciej klasy podąża do Lwowa dla zasilenia kasy najstarszego syna pracującego na starostę w jednem z biór rządowych. Chłopiec to jak malowany, rozumie się nie stary Jacek, ale jego syn, czekający właśnie na papę w dworcu kolei żelaznej. Z matematyczną ścisłością (jakby ukończył technikę), rozdzielone ma włosy na środku głowy z maleńką grzywką na czole, co mu już nadaje pozor młodego byczka z usposobieniem borykania się z przyszłą karjerą. Pod nosem, zaczynają sypać się białe jak len wąsięta, na szyi wiszą binokle, kołnierzyki odwinięte wichrowato, a w jasnym centkowanym krawacie zakrywającym mężne piersi, tkwi szpilka z podkową i batem jako symbol, że pan Zdzisław, mimo młodego wieku swego, kutym już jest na wszystkie cztery nogi, i potrafi los podcinać z fantazją. Przy otwartej głęboko kamizelce wiszą łańcuszki od zegarka na obie strony; żakieta jasna rozchodząca się hyperbolami po za niego, ma regularne bronzowe pręgi w rodzaju pręg jakie zdobią prawdziwą pijawkę. Młody aspirant na starostę, podobnie jak pewien hrabia, zagina dla oszczędności majteczki na dole, choć błota wcale nie ma na dworze, bo to odkrywa jasno czekoladowe sukno spiczastych bucików będących teraz w modzie.

Na peronie dano znak że pociąg się przybliża, i gdy poważny portier drzwi otworzył, jednym z pierwszych jest zasapany i przygarbiony pan Jacek w wyrudziałych jak stary pies szopach. Poczciwy szlachcic dla oszczędności dźwiga w obydwu rękach podróżne tłumoki, a pod pachą ma jeszcze próżną butelkę po wypitej kawie, w którą go imość dobrodziejka pani Jackowa na drogę zaopatrzyła...

— Jak się masz Zysiu, jak się masz moje dziecko! — woła stary stawiając pakunki na ziemi, a garścią obcierając wąsy do pocałowania syna. Różne piękności przechodzą obok i potrącają starego, Zdzisio chciałby pocałować ojca w rękę, ale że szlachcic krzyczy za głośno, więc pociągając go delikatnie za rękaw, całuje w ramię, powtarzając — pst, pst nie tak głośno mój ojcze...

— A weźno tam jeden worek — mówi stary wpatrując się z roskoszą w zarumienioną twarz syna — bo mi butelka z pod pachy wylęci, — a to szkoda żeby się stłukło... I trzeba pójść do tej akcyzy, bo tam matka włożyła trochę materklasów wieprzowych.

— Na co takie rzeczy?

— Ba ba, na co? — tylko sprobujesz tego salcesonu, to palce będziesz oblizywał... trzeba coś opłacić.

Ale gdzieżby taki elegant w jasnych rękawiczkach mógł się dotknąć brudnego worka szlacheckiego...

— Ekspres! — woła na przechodzącego posługacza — weźno te tłumoki i idź do akcyzy.. Niechże ojciec da klucze...

— To już sam muszę pójść moje dziecko — rzecze zafrasowany pan Jacek — jeszczeby co zginęło i takby mi poprzewracali wszystko...

I wsadziwszy ową butelkę do kieszeni futra, pan Jacek znów podniósł tłumoki i potaszczył się do bióra akcyzy, gdzie borykając się do upadłego co do wagi owego salcesonu i dwóch garnuszków masła, targował się o cenę opłaty, upewniając, że to wszystko nie na handel, ale dla jego syna Zdzisława, przyszłego c. k. starosty powiatowego.

Stary koniecznie chciał iść piechotą, lecz pan Zdzisław już zamówił parokonnego znajomego fiakra...

— Ojciec się zmęczy, gdzież można — mówi syn zatrzymując się z nim przy powozie — toż to z pół mili do miasta...

— Nic mi nie będzie, dzięki Bogu, mam nogi zdrowe, co ja to na wsi zrobię na dzień tej drogi, pewnie ze dwie mile.

— Ale już zamówiłem, niech ojciec siada...

— A cóż to będziesz chciał mój przyjacielu? — pyta pan Jacek woźnicy.

— Jest taksa z pakunkiem i w nocy półtora papierka..

— Bójże się ty ran Boskich, człowieku: Mnie za te pieniądze trzy furmanki cały dzień gnój wożą. A toż to ciężkie czasy w tym roku; kartofle przepadły, pszenica nie daje pół korca... gdzież ty masz duszę, człowieku.

Mimo wszelkich dąsań i grymasów pana Zdzisława, mimo tak rzeczywistej kompromitacji wobec znajomego dorożkarza, stary wyszukał jednokonkę, za pięćdziesiąt centów ugodził i wraz z synem pojechał do miasta... W drodze rozpoczęły się dość głośne targi o hotel, gdzie stanąć. Pan Jacek koniecznie chciał do Podolskiego, pan Zdzisław ciągnął do Żorża.

— Mówię ci, synu drogi, u nas taka w tym roku bieda, aż strach! I ekonoma odprawiłem i matka kucharkę odprawiła — sami robimy wszystko, bo końca z końcem nie zawiążesz... Ja ci mówię, że pracujemy jak woły, od rana do nocy...

— Pst, pst! — przerywa synek pokazując na dorożkarza, który w tę stronę ciekawe ucho nadstawiał — Co tam kto ma wiedzieć o tem, co u nas w domu się dzieje...

— Kiedy bieda, jak Boga szczerze kocham, na co tu w bawełnę obwijać.

Pan Zdzisław o tyle jednak przemógł skąpą naturę ojca, że zajechano do angielskiego hotelu, gdzie stary po obejrzeniu ośmiu numerów po różnych cenach i piątrach, wybrał pókoik w podwórzu, gdzieś w samym kącie, z niebardzo przyjemnym widokiem na stajnię. (C. d. n.)

Sapienti — Sat.

Ona młoda, piękna, wiotka,
Uśmiechnięta, czuła, słodka,
On stary — spróchniały grat...
Sapienti — sat.

Brzydka, a u stóp jej wzdycha
Młodzieniec i szepce zcicha:
Tyś piękna jak lilji kwiat...
Sapienti — sat.

Ja jestem mądry i miły,
Zacny, dzielny, pełen siły,
Ja jestem wielki jak świat...
Sapienti — sat.

Pożycz! — odpowiadam głową
Że tym razem oddam — słowo
Jakie chcesz — bez żadnych zwad...
Sapienti — sat.

Skąpej cioci w dniu imienia
Siostrzeniec składa życzenia:
O ciociu! jakżebym rad...
Sapienti — sat.

Cieszmy się! strofa ostatnia:
Ludzkości! twa miłość bratnia
Jest wyższa, jest wyższa — nad...
Sapienti — sat.

M. Rodoć.

KRONIKA NAUKOWA

PRZEZ

B. ABAKANOWICZA.

Przekopanie przesmyku Panamy.

Od samego odkrycia Ameryki połączenie dwu oceanów było marzeniem ludzi dalej patrzeć umiejących.

Od tego czasu pojawiały się ciągle liczne projekta przepołowienia lądu Ameryki zapomocą kanału, któryby na zawsze rozdzielił część północną od południowej. Chodziło tylko o przebicie w którymkolwiek miejscu wązkiego pasa ziemi, który rozdziela wody Oceanu Spokojnego i Atlantyckiego, i ciągnie się przez 2300 kilometrów.

Grzbiet wulkanicznych Kordylierów tworzy ten długi przesmyk. Ludności tam mało, klimat należy do najgorętszych i najnieznośniejszych, a roślinność najpiękniejsza może, jaka pod słońcem istnieje

Środkowy grzbiet gór wznosi się do wysokości 4000 metrów i krótkie lecz strome i mało spławne rzeki służą do niezbyt ożywionej kommunikacji. Teraz kolej przerzyna przesmyk Panamski. Za lat dziesięć lub dwadzieścia może już i okręta będą mogły przepływać wprost z jednego oceanu do drugiego nie robiąc olbrzymiej drogi naokoło przylądku Horn, aby z Atlantyku dostać się do wybrzeży kalifornijskich i innych na Zachodzie leżących.

Już zbliża się chwila, gdy marzenie tylu podróżników i uczonych stanie się rzeczywistością. Twórca kanału Suezkiego, Ferdynand Lesseps, wziął się z całą energią do dzieła i dokona je niewątpliwie.

W ostatnich czasach sprawa tą szczególniej gorąco poruszaną była na różnych kongresach geograficznych, a nareszcie żeby ją rozstrzygnąć ostatecznie zwołano kilka miesięcy temu kongres międzynarodowy do Paryża.

Największe znakomitości techniczne, finansowe i naukowe brały w nim udział: wszechstronnie zbadano liczne projekty i wydano o nich opinię. Lesseps zdał sprawę z tego kongresu w jednym z zeszytów *Revue nouvelle* i ztamtąd czerpiemy niniejszy krótki opis stanu chwilowego rzeczy.

Kongres podzielił się na kilka komisji. Pierwsza z nich, nazwana *statystyczną*, miała za zadanie zebrać daty tyczące się przypuszczalnego ruchu handlowego, który w te strony się skieruje, gdy nowa droga zostanie otworzoną. Staranne a pewne obliczenia wykazały, że rocznie przez nowy kanał przechodziłoby towarów za blisko dwa miljardy franków, gdyby kanał dziś był otwartym, a ponieważ to nastąpić może dopiero za lat dziesięć, więc do tego czasu suma ta, sądząc z postępu i rozwoju handlu w tych okolicach, zdwoi się prawie.

Z dat zebranych przez tę pierwszą komisją korzystała druga, zwana *ekonomiczną*. Ona to obliczyła, jakie dochody mieć może przedsiębiorstwo budowy kanału. Wykazała ona także ekonomiczne korzyści otwarcia spławnej drogi i wpływ jej na rozwój handlu w krajach sąsiednich. Już samo skrócenie drogi dla okrętów udających się z Europy na zachodnie brzegi Ameryki wystarcza do osiągnięcia kolosalnych oszczędności. Z Francji objeżdżając wkoło przylądek Horn, trzeba zrobić 5000 mil francuskich drogi, a przez kanał pozostałoby tylko 1500. Sześćdziesiąt dni czasu oszczędzonych przez taką zmianę, a przytem otrzymanoby wielkie ulgi ze strony towarzystw asekuracyjnych, bo nowa droga byłaby bez porównania bezpieczniejszą.

Trzecia komisja *nawigacyjna*, najłatwiejsze miała zadanie, bo chodziło tylko o oznaczenie warunków żeglugi morskiej w tych okolicach i o postawienie warunków budowy kanału odpowiadających tym wymaganiom.

Najgłówniejsze zadanie miała komisja *techniczna*. Ona to rozpatrywała szczegółowo wszystkie przedłożone projekty ze stanowiska sztuki inżynierskiej i wybrała z nich najodpowiedniejszy tak ze względu na wygodę jak i na taniość.

Projektów kongresowi przedłożonych było bardzo wiele, lecz tylko te rozbierano, które były wykończone aż do drobnych szczegółów.

Reprezentant Mexyku p. Garay, popierał projekt kanału północnego przez *Tehuantepec*. Długość drogi do przebycia wynosiłaby 240 kilometrów, a kanał wzniósłby się na 237 metrów nad poziom morza. Na tę wyżynę okręty podnoszone byłyby za pomocą szeregu szluz, których ilość na całej przestrzeni doszłaby do kolosalnej sumy stu dwudziestu.

Okręt potrzebowałby całych dób dwunastu dla dostania się z jednego oceanu do drugiego. Przy każdej szluzie musiałby przystawać, przy jej pomocy podnosić się o kilka métrów w górę, przepłynąć potem mały kawałek i znów powtarzać tę operację sześćdziesiąt razy idąc w górę i tyleż spuszczając się na dół.

Tymczasem inne kommisje wykazały, że chcąc by kanał się opłacił, trzeba żeby najmniej 50 okrętów dziennie przez kanał przepływało, a to przy tak skomplikowanej budowie byłoby niemożliwem.

Wiele projektów wyznaczyło linię kanału przez Nicaraguę. Wszystkie one prowadzą przez duże jezioro, leżące w środku przesmyku, które jest zasilane licznemi dopływy, a samo wlewa się potężną rzeką San Juan do Atlantyku. Tę rzekę możnaby zużytkować, lecz cóż gdy w jej przebiegu wiele jest przeszkód naturalnych trudnych do usunięcia. Trzebaby było wznosić kilka sztucznych budowli nadzwyczaj kosztownych.

Amerykanie mocno ten projekt popierali na kongresie. Podróż trwałaby już tylko cztery dni, a droga do zrobienia wynosiłaby 292 kilometry.

Lecz i te projekta również jak i popzednie nie znalazły szczególnego uznania.

Dopiero gdy ukazał się szkic panów Wyse i Reclus kierujący kanał przez Panamę, sprawa odrazu została rozstrzygniętą. Przekonano się, że tu jedyna dobra droga.

Najgłówniejszą zaletą tego projektu jest to, że przechodzi w równym poziomie. Wody obu oceanów łączyć się mają bezpośrednio zapomocą przekopanego w jednym poziomie kanału i nie trzeba żadnych szluz do podnoszenia okrętów na wyżyny i do ich spuszczania. Okręty swobodnie będą wpływały i przepływały bez żadnych przeszkód po drodze, tak że ich ilość znaczna w jednym dniu przepłynąć będzie mogła, kanał według projektów pp. Wyse i Reclus idąc najprzód doliną rzeki Chagres, potem wpada w olbrzymi tunel, którym przepływa na drugą stronę Kordylierów i dobiega Oceanu Spokojnego.

Kongres jednak oparł się budowie tunelu, który musiałby mieć kolosalne rozmiary, tak wielkie, żeby okręty mogły swobodnie przezeń przepływać. Spotkanoby wskutek niezwykłe trudności techniczne, któreby pociągnęły zbyt wielkie koszta. Postanowiono więc zamiast tunelu, zrobić olbrzymi przekop w Kordylierach, rozciąwszy je od góry do dołu.

Do trudności należeć będzie uregulowanie doliny rzeki Chagres, która wzbiera ogromnie podczas ulew, nieraz na sześć metrów wysokości przez jedną tylko noc. Postanowiono więc poprowadzić tę rzekę do innego łożyska sztucznie dla niej zrobionego.

Na kongresie jak wspomnieliśmy było jeszcze i kilka innych projektów, lecz ostatecznie zwrócono uwagę tylko na dwa, a mianowicie na Nicaraguański i Panamski. A gdy przyszło do ostateeznej decyzji — wybrano ten ostatni.

Wyrok kongresu po dwutygodniowych obradach wydany brzmi jak następuje:

„Kongres uważa, iż wykonanie kanału między dwoma oceanami, w jednym poziomie, jest możliwem i że ten kanał morski musi mieć kierunek od zatoki Limon do zatoki Panamskiej, żeby odpowiedział warunkom łatwego dostępu i łatwej eksploatacji.“

Przed paru miesiącami chciał Lesseps na podstawie uchwały kongresu zająć się wprowadzeniem wielkiego przedsięwzięcia w życie. Postanowił przytem nie brać żadnych kapitałów od rządów, a oprzeć budowę na siłach prywatnych. Lecz niestety kapitał okazał się tak trwożliwym, że starania w r. 1879 spełzły na niczem.

Lesseps wyjechał do Panamy, aby na miejscu jeszcze raz porobić studja techniczne i przedstawić projekt wykończony aż do najdrobniejszych szczegółów.

Prawdopodobnie gdy wróci w roku przyszłym stosunki się polepszą i będzie można przystąpić do dzieła, a huk min wysadzanych i dźwięk motyk rozlegać się zaczną w dzikich i małoludnych okolicach Panamy.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

ROZDZIAŁ I.

W którym występuje pan Sharp.

— Te dzienniki angielskie wyborne są na prawdę! — mówił do siebie poczciwy doktor, zasuwając się w wielki fotel obity skórą.

Doktor Sarrasin przez całe życie swe używał monologów, co jest także rodzajem rozrywki.

Był to człowiek lat pięćdziesięciu, rysów delikatnych, oczu żywych i czystych, które przysłaniał stalowemi okularami, fizjonomii poważnej i przyjemnej; należał on do rzędu tych osobistości, o których za pierwszym rzutem oka mówi się: oto poczciwy człowiek. Pomimo rannej godziny, doktor był już świeżo ogolony, i białą miał krawatkę, chociaż reszta ubrania nie zdradzała żadnej chęci do elegancji.

Na dywanie, na meblach pokoju, który zajmował w jednym z hotelów w Brighton, leżały

numera *Times*'u, *Daily Telegraph*'u, *Daily News*. Dopiero dziesiąta biła, a doktor obiegł już miasto, zwiedził szpital, wrócił do swego hotelu i odczytał w głównych dziennikach londyńskich sprawozdanie *in extenso* z memorjału, który przed parą dniami podał był na wielkim kongresie międzynarodowym Hygieny; był to memorjał o „przyrządzie do rachowania ciałek krwi", którego doktor był wynalazcą.

Przed nim, na stoliku zasłanym białym obrusem, stała taca, a na niej kotlet doskonale usmażony, filiżanka wonnej herbaty i kilka owych grzanek z masłem, które kucharki angielskie tak doskonale przyrządzają, dzięki małym bułeczkom dostarczanym im na ten cel przez piekarzy.

„Tak, powtarzał, niepodobna zaprzeczyć temu, że dzienniki angielskie doskonałe są!... Mowa wice-prezydenta, odpowiedź doktora Cicogna z Neapolu, szczegółowe wyjaśnienie mego memorjału, wszystko tam żywcem schwycone, odfotografowane.

„Głos ma doktor Serrain z Douai. Szanowny kolega mówi po francusku. Słuchacze przebaczą mi, rzekł na wstępie, że pozwalam sobie używać tuttaj języka tego; ale jestem pewny, że lepiej oni rozumieją po francusku, aniżeli ja potrafiłbym mówić po angielsku.

„Pięć szpalt małym drukiem!... Nie wiem prawdziwie co lepsze, sprawozdanie w *Times*'ie czy w *Telegraph*'ie... Niepodobna żądać większej ścisłości i dokładności!"

Rozmyślanie doktora Sarrasina przerwał w tej chwili sam mistrz ceremonii, — niktby się nie ośmielił mniejszym tytułem uczcić figurę tak poprawnie ubraną na czarno, — który zapukał do drzwi i zapytał czy „mosiou" przyjmuje...

„Mosiou" jestto ogólna nazwa, do której Anglicy uważają się zobowiązani względem wszystkich Francuzów bez wyboru, tak jak gdyby zdawało się im, że naruszą wszelkich praw grzeczności, jeżeli Włocha nie obdarzą tytułem „Signor" a Niemca „Herr". Zresztą, może i mają słuszność. Zwyczaj ten korzystny jest przynajmuiej pod tym względem, że odrazu objaśnia o narodowości ludzi.

Doktor Sarrasin wziął kartkę, którą mu podano. Zdziwiony tem, że go ktoś może odwiedzać w kraju, gdzie nie zna nikogo, zdziwił się jeszcze bardziej, przeczytawszy na małym kwadraciku papierowym:

„Mr. *Sharp*, solicitor,
93 Southampton row,
London."

Wiedział że „solicitor" po angielsku do tegoż samego rodzaju należy co patron, a raczej prawnik mieszaniec, między notarjuszem, patronem i adwokatem, — dawniejszy prokurator.

— Cóż u djabła może chcieć odemnie ten pan Sharp? — rzekł do siebie. — Czyżbym miał, sam nie wiedząc o tem, ściągnąć na siebie proces jaki?... Pewny jesteś, że to do mnie? — zapytał.

— Oh! yes, mosiou! — odpowiedział.

— No! to poproś.

Mistrz ceremonii wprowadził mężczyznę młodego jeszcze, którego doktor za pierwszym rzutem oka, zaliczył do wielkiej rodziny „trupich głów."

Jego usta wązkie, a raczej wyschłe, długie białe zęby, wklęsłe skronie pod pargaminową skórą, cera mumii i małe szare oczka o świdrującem wejrzeniu dawały mu niezawodne prawo do tej nazwy. Cały szkielet jego, od głowy do pięt, znikał pod „ulster coat"em, w wielkie kraty; w ręku trzymał podróżny worek z lakierowanej skóry.

Wszedłszy do pokoju doktora, nieznajomy szybko ukłonił się, położył na ziemi worek swój i kapelusz, usiadł nie prosząc o pozwolenie, i rzekł:

— William Henryk Sharp młodszy, spólnik domu Billows Green; Sharp et Co... Czy z doktorem Sarrasin'em mam honor?...

— Tak, panie.

— Franciszkiem Sarrasin?

— Takie jest moje nazwisko w istocie.

— Z Douai?

— Mieszkam w Douai.

— Ojciec pański nazywał się Izydor Sarrasin?

— Tak jest.

— Mówimy zatem, że się nazywał Izydor Sarrasin?

Mr. Sharp wyjął książeczkę z notatkami z kieszeni swojej, zajrzał do niej i mówił dalej:

Izydor Sarrasin umarł w Paryżu 1857, w VI. okręgu, przy ulicy Taranne, pod numerem 54, w domu szkolnym, zrujnowanym obecnie.

— Rzeczywiście — rzekł doktor, coraz bardziej zdziwiony. — Ale może zechcesz mię pan objaśnić?...

— Matka jego nazywała się Julja Langévol — mówił dalej niezmięszany tem pytaniem Mr. Sharp. Pochodziła z Bar-le-Duc, była córką Benedykta Langévot, który mieszkał przy uliczce Loriot a zmarł w 1812, jak się pokazuje z réjestrów magistratu tegoż miasta... Nieoceniona to rzecz, panie, te rejestra, nieoceniona!... Hmm!... hmm!... i siostrą Jana Jakóba Langévol, tamburmażora w 36. lekkim...

— Na prawdę — odezwał się doktor Sarrasin, zadziwiony tą głęboką znnjomością genealogji jego — zdaje się, że pan znasz to wszystko lepiej niż ja sam. W istocie, babka moja nazywała się z domu Langévol, ale to wszystko co wiem o niej.

— Opuściła miasto Bar-le-Duc w 1867, wraz z dziadkiem pańskim, którego zaślubiła była w 1799. Oboje udali się do Melun, gdzie się osiedlili jako blacharze i pozostali tam do 1811, to jest do śmierci Julji Langévol, żony Sarrasin'a. Z małżeństwa tego było jedno tylko dziecko, Izydor Sarrasin, pański ojciec. Od tej chwili nić zrywa się, i wiemy tylko o śmierci wyżej wymienionego, śmierci, której data zapisana w Paryżu...

— Mogę nawiązać tę nić — rzekł doktor, mimowoli pociągnięty tą ścisłością iście matematyczną. Mój dziadek osiedlił się w Paryżu dla wychowania syna swego, który zamierzał oddać się nauce medycyny. Umarł w 1832, w Palaiseau, nieopodal Versalu, gdzie mój ojciec pełnił obowiązki zawodu swego, i gdzie ja sam urodziłem się w 1822.

— Jesteś pan tym którego szukam — odrzekł Mr. Sharp. — Nie masz pan ani braci ani sióstr?...

— Nie! Byłem jedynakiem, i matka moja zmarła w dwa lata po urodzeniu mojem... Ależ nareszcie, panie, czy powiesz mi pan?...

Mr. Sharp powstał.

— Sir Bryah Jowahir Mothooranat — rzekł, wymawiając te imiona z szacunkiem, jaki każdy Anglik okazuje dla tytułów szlacheckich, szczęśliwy jestem, żem pana wynalazł i że pierwszy mogę mu złożyć hołdy moje!

— Ten człowiek ma pomięszanie zmysłów — pomyślał doktor. — Przytrafia się to dosyć często między „trupiemi głowami!"

Solicitor wyczytał diagnostykę tę z oczu doktora.

— Wcale nie jestem warjatem — odpowiedział spokojnie. — Jesteś pan obecnie jedynym znanym dziedzicem tytułu baroneta, który na przedstawienie jenerał gubernatora prowincji Bengalu nadany został Janowi Jakóbowi Langévol; był on naturalizowanym poddanym angielskim w 1819, wdowcem po Begum Gokort i dożywotnim posiadaczem dóbr tejże; zmarł w 1841, pozostawiwszy jednego tylko syna, idjotę i bezdzietnego, który umarł bez testamentu w 1869. Trzydzieści lat temu. dziedzictwo to wynosiło około pięć miljonów szterlingów. Trzymane pod sekwestrem i opieką, przynosiło ono procenta, które całkowicie prawie kapitalizowały się za życia niedołężnego syna Jana Jakóba Langévol'a. W 1870 sukcesją tę oszacowano na okrągłą cyfrę dwadzieścia jeden miljonów szterlingów, czyli pięćset dwadzieścia jeden miljonów franków. Za wyrokiem sądowym w Agra, zatwierdzonym przez sąd wyższy w Delhi, legalizowanym przez radę przyboczną, wszystkie dobra ruchome i nieruchome zostały sprzedane, wartość ich zrealizowana i cała suma złożona w depozycie w banku angielskim. Wynosi ona teraz pięćset dwadzieścia siedm miljonów franków, które będziesz pan mógł odebrać za prostym czekiem, jak tylko złożysz genealogiczne dowody swe w kanclerskim sądzie. Co do mnie, ofiaruję się wyjednać panu od dnia dzisiejszego, jaką tylko zechcesz pan zaliczkę u bankierów Trollop, Smith et Com...

Doktor Sarrasin był w osłupieniu. Przez chwilę nie mógł zdobyć się ani na jedno słowo. Nareszcie odzyskawszy wrodzony sobie zmysł krytyczny i nie mogąc się zgodzić na to, by ten sen z *Tysiąca i jednej nocy* miał być rzeczywistością, zawołał:

— Ale jakiež dowody możesz mi pan dać na to, że historja ta jest prawdziwą i jakim sposobem odkryłeś mię pan?

— Dowody są tutaj — odrzekł Mr. Sharp, uderzając ręką o worek z lakierowanej skóry. — Co do sposobu, w jaki wynalazłem pana, jest on bardzo naturalnym. Szukam pana od pięciu lat. Wynajdywanie krewnych, albo „*next of kin*", jak mówimy w języku prawnym, dla licznych spadków, niemających spadkobierców w prostej linji, a które corocznie spisywane są w posiadłościach brytańskich, jest specjalnością domu naszego. Otóż, właśnie spadek Begum od pięciu lat już wiele nam pracy zadaje. Szukaliśmy na wszystkie strony, zbadaliśmy setki rodzin Sarrasinów i nie znaleźliśmy tej, która pochodziła od Izydora. Przyszedłem nawet do tego przekonania, że nie było innego Sarrasin'a we Francyi, kiedy wczoraj rano, czytając w *Daily News* jedno ze sprawozdań na kongresie Hygieny, dowiedziałem się o nieznanym mi dotąd doktorze tegoż nazwiska. Przejrzałem natychmiast notatki, których tysiące zebraliśmy w tym interesie, i z zadziwieniem spostrzegłem, że miasto Douai uszło uwagi naszej. Pewny prawie, że trafiłem na dobry ślad, natychmiast wyruszyłem do Brighton, widziałem pana, kiedyś wychodził z kongresu i do niezłomnego doszedłem przekonania. Jesteś pan żywym wizerunkiem swego dziadka Langévol, jak go przedstawia nam fotografja, zdjęta z portretu wykonanego przez indyjskiego malarza Saranoni.

Mr. Sharp wyjął z książeczki swojej fotografję i podał ją doktorowi Sarrasinowi. Fotografja ta przedstawiała mężczyznę wysokiego wzrostu, z przepyszną brodą, w turbanie z kitką i w sukni ze złotogłowu, szamerowanej zielonem; miał on pozę właściwą historycznym portretom, na których główno dowodzący jenerał kreśli plan ataku, uważnie patrząc na widza. Na drugim planie widać było niewyraźnie dym bitwy i natarcie konnicy.

— Te dokumenta lepiej odemnie objaśnią pana. Zostawię je tutaj i wrócę za dwie godziny po rozkazy, jeżeli pan pozwoli na to.

To mówiąc, Mr. Sharp wydobył z lakierowanego worka siedm czy ośm foljałów tak drukowanych jak pisanych aktów, złożył je na stole i wyszedł, cofając się tyłem i mrucząc:

— Sir Bryah Jowahir Mothooranath, mam honor pożegnać pana.

Na wpół wierząc, na wpół niedowierzając, doktor wziął akta i zaczął przeglądać je.

Prędko przekonał się, że historja jest zupełnie prawdziwa, i że wszelkie wątpliwości muszą ustąpić przed rzeczywistością. Jakimże sposobem, naprzykład, mógł wahać się jeszcze w obec dokumentu, wydrukowanego pod tym nagłówkiem:

„Raport do dostojnych lordów rady przybocznej królowej, podany 5. stycznia 1870, a tyczący się wakującego dziedzictwa po Begum Gokool z Ragginahra prowincyi Bengalu.“

Główne punkta. W sprawie tej chodzi o prawo własności nad pewnymi mehalami i czterdziestu trzema tysiącami begalów ziemi uprawnej, wraz z rozmaitemi budowlami, pałacami, zabudowaniami gospodarskiemi, wsiami, ruchomościami, bronią, skarbami, etc. etc., a pochodzącemi ze spadku po Begum Gokool z Bagginahra. Z podań robionych kolejno do trybunału cywilnego w Agra i do najwyższego sądu w Delhi, wypada, że w 1819, Begum Gokool, wdowa po rai Luckmissur i sama z siebie dziedziczka dóbr znacznych, poślubiła cudzoziemca, rodem Francuza, imieniem Jana Jakóba Langévol'a. Cudzoziemiec ten służył aż do 1815 w wojsku francuskiem, w stopniu podoficera (tamburmażora) w 36 lekkiej kawalerji; po rozpuszczeniu wojska Loary, wsiadł na okręt w Nantes jako nadzorca nad ładunkiem handlowego statku. Przybył do Kalkuty, wylądował tam i zamieszkał; wkrótce potem otrzymał urząd kapitana instruktora w małem krajowem wojsku, które raja Luckmissur miał prawo utrzymywać. Wkrótce postąpił na głównego komendanta, a wreszcie po śmierci rai otrzymał rękę wdowy po nim. Rozmaite względy polityki kolonialnej, jakoteż ważne usługi, jakie Jan Jakób Langévol, który się naturalizował, i był poddanym brytańskim, oddał Europejczykom w pewnej niebezpiecznej okoliczności, skłoniły jenerał-gubernatora prowincji Bengalu do tego, że prosił i otrzymał tytuł baroneta dla małżonka Begum. Posiadłość Bryah Jowahir Mothooranath została wówczas zamieniona w lenność. Begum umarła w 1839, pozostawiwszy dożywocie dóbr swoich Langévol'owi, który w dwa lata po niej zstąpił do grobu. Z małżeństwa tego był tylko jeden syn, niedołężny od urodzenia, i którego trzeba było niezwłocznie oddać pod opiekę. Dobrami jego wiernie zarządzano aż do śmierci, która nastąpiła w 1869. Ogromny ten spadek nie ma znanych dziedziców. Trybunał w Agra i sąd w Delhi zarządziły licytacją jego, na wezwanie miejscowego rządu działającego w imię państwa; mamy przeto zaszczyt prosić lordów rady przybocznej o ulegalizowanie tych wyroków etc. etc.„ Poczem następowały podpisy.

Potwierdzone kopje wyroków Agry i Delhi, akta sprzedaży, rozkazy złożenia kapitału w depozycie do banku angielskiego, wykaz poszukiwań zarządzonych we Francji celem wynalezienia spadkobierców Langévol'a i cała imponująca masa dokumentów podobnego rodzaju, nie pozostawiły ani śladu wątpliwości w umyśle doktora. Był istotnym *„next of kin“* i spadkobiercą Begum. Od pięciuset dwudziestu siedmiu miljonów, złożonych w piwnicach banku, przedzielała go tylko formalność sądowa, mająca się oprzeć na prostem wykazaniu autentycznych aktów urodzenia i śmierci!

Takie niespodziane bogactwo mogło olśnić najspokojniejszy umysł; poczciwy doktor uległ także wzruszeniu, jakie podobny wypadek mógł wywołać. Wzruszenie to jednak krótko trwało, zdradziwszy się tylko szybką, kilkuminutową przechadzką po pokoju. Zapanowawszy nad sobą, doktor wyrzucał sobie jako słabość tę chwilową gorączkę i rzuciwszy się na fotel, czas jakiś siedział pogrążony w głębokiem dumaniu.

Potem nagle zerwał się i począł znowu chodzić wzdłuż i wszerz. Ale teraz już oczy jego błyszczały czystym ogniem, i widać było, że myśl piękna i szlachetna rozwija się w nim. Przyjął ją, pielęgnował, pieścił, wreszcie przyswoił sobie.

W tej chwili zapukano do drzwi. Mr. Sharp zjawił się z powrotem.

— Darujesz mi pan moje powątpiewanie — rzekł do niego doktor uprzejmie. — Teraz przekonałem się i mocno obowiązany jestem panu za trud, jaki sobie zadałeś.

— Nie jesteś mi pan wcale obowiązany... prosty interes... mój zawód... — odpowiedział Mr. Sharp. — Mogęż spodziewać się, że Sir Bryah pozostanie klientem moim?

— Ma się rozumieć. Całą sprawę powierzam panu... Tylko będę prosił pana, ażebyś nie dawał mi więcej tego niedorzecznego tytułu.

— Niedorzeczny! Tytuł wartujący dwadzieścia jeden miljonów szterlingów! — mówiła fizjonomia Mr. Sharp; ale on sam nadto dobrym był dworakiem, by miał nie ustąpić.

— Jak się panu podoba; wola pańska — odpowiedział. — Wracam do Londynu, gdzie będę oczekiwał na rozkazy pańskie.

— Czy mogę zatrzymać te dokumenta?

— Naturalnie, mamy kopję ich.

Pozostawszy sam, doktor Sarrasin usiadł przy biórku, wziął arkusik papieru listowego i napisał co następuje:

„Brighton, 28 października 1871.

„Moje drogie dziecię, spadła na nas fortuna ogromna, olbrzymia, szalona! Nie myśl, żem dostał obłąkania, i przeczytaj dwa czy trzy drukowane akta, które załączam do listu tego. Przekonasz się z nich dowodnie, że jestem spadkobiercą tytułu baroneta angielskiego, a raczej indyjskiego, i kapitału wynoszącego więcej niż pół miljarda franków, a złożonego obecnie w banku angielskim. Jestem pewny, mój drogi Oktawjuszu, że nie mylę się co do uczuć, jakie wzbudzi w tobie ta wiadomość. Tak jak ja zrozumiesz nowe obowiązki, jakie wkłada na nas taki majątek, i niebezpieczeństwa, jakiemi grozi naszemu rozsądkowi. Godzinę temu zaledwie dowiedziałem się o tej sprawie, a już obawa przed taką odpowiedzialnością zmniejsza o połowę radość, jaką na razie uczułem ze względu na ciebie. Może zmiana ta przyniesie nam nieszczęście?... Pracowici pionierowie nauki, zadowoleni byliśmy dotąd z naszego skromnego losu. Czy będzie tak i nadal? Nie, może, chybaby... Ale nie śmiem ci mówić o pewnej myśli, która powstała w głowie mojej... chybaby ta sama fortuna stała się w rękach naszych nowym i potężnym przyrządem naukowym, cudownem narzędziem cywilizacji!... Pomówimy o tem jeszcze. Napisz do mnie, powiedz mi prędko, jakie wrażenie sprawi na tobie ta wielka wiadomość, i sam oznajmij o niej matce. Nie wątpię, że jako rozsądna kobieta przyjmie ją spokojnie. Co do siostry twojej, nadto młoda ona jeszcze, by coś podobnego mogło zawrócić jej głowę. Zresztą, mała ta główka mocną już jest, i jestem pewny, że chociażby nawet mogła zrozumieć możliwe następstwa wypadku, o którym cię zawiadamiam, pomimo to mniej niż ktokolwiek z nas zaniepokoi się tą zmianą zaszłą w położeniu naszem. Serdeczny uścisk dłoni zasyłam Marcelemu. Nie wyłączam go z żadnego z moich projektów na przyszłość.

Kochający cię ojciec
Fr. Sarrasin.
D. M. P.“

List ten wraz z najważniejszymi papierami doktor złożył do koperty i zaadresował do „Pana Oktawjusza Sarrasin, ucznia szkoły centralnej sztuk i rzemiosł, 32, ulica Roi-de-Sicile, Paris“; potem wziął kapelusz, włożył palto i poszedł na kongres. W kwadrans potem zacny człowiek zapomniał zupełnie o swoich miljonach.

(C. d. n.)

Kronika Tygodniowa.

(„Macierz polska.“ Zarys jej statutu. Interpelacja w sprawie Wystawy dzieł sztuki i zjazdu przyrodników. Fejletony humorystyczne Czasu. Paris-Murcia.)

Jak to wszystkim wiadomo — Kraszewski pracuje obecnie nad wprowadzeniem w życie „Macierzy polskiej“; Jubilat przygotowuje statuty, porozumiewa się z ofiarodawcami i instytucja ta niedługo stanie się rzeczywistością.

Dowiadujemy się, że siedliskiem „Macierzy“ ma być nasze miasto, a opiekę nad nią obejmie Wydział krajowy. Złożona zostanie Rada nadzorcza z sześciu członków, lecz Kraszewski zastrzegł sobie dożywotnie prawo głosu stanowczego.

Znaczne dość pieniądze, które już są zapewnione, mają stanowić wieczysty fundusz żelazny, który nie może być nadwerężonym, a jego odsetki użytkowane być mają na wydawnictwa dzieł dla ludu i klas średnich.

Tą drogą stale rozchodzić się będą między lud książki, niosące im oświatę.

Dziełka sprzedawane będą po cenie kosztu, z doliczeniem procentu nie przewyższającego 10%. Pieniądze, które ze sprzedaży wpłyną, rozdzielone będą na dwie połowy, z których jedna dołączy się do funduszu żelaznego, a druga pójdzie na zwiększenie wydawnictwa.

Koszta administracji „Macierzy“ nie mają przechodzić piątej części odsetków.

*

Rada nadzorcza ma starać się o wydawanie książek, których treść i forma zastosowaną będzie do potrzeb różnych części kraju naszego. Średnie warstwy żydów polskich mają być także uwzględnione.

O dalszych postępach „Macierzy“ nie omieszkamy donieść naszym czytelnikom. Zwracamy tymczasem uwagę na to, iż Kraszewski uprasza tych wszystkich, którym sprawa ta na sercu leży, o przysyłanie swych projektów i uwag pod jego adresem. (Drezno, Nordstrasse, Nr. 27.) Jest w naszej części Polski wielu ludzi, którzy już się czynnie zajmowali sprawą wydawnictw dzieł ludowych; powinni oni przesłać swoje uwagi co do stosunków tutaj zachodzących i doświadczenia w praktyce zebrane.

* * *

Otrzymaliśmy z kilku stron zapytania od naszych artystów, co się dzieje z wystawą powszechną dzieł polskich, projektowaną we Lwowie, do której inicjatywę dał Siemiradzki. Nie wiemy co na to odpowiedzieć, bo nie wiemy czy w ogóle cośkolwiek się w tej mierze robi. Zawiązał się przecież komitet, który miał wypracować projekt urządzenia takiej wystawy — otoż on przedewszystkiem powinien dać do powszechnej wiadomości, jakie dotąd porobiono kroki.

Termin otwarcia tej wystawy powinien być ogłoszony jak najwcześniej, żeby artyści mogli się przygotować bez pośpiechu i dobrze obliczyć z czasem. Szczególniej ważnem to jest dla młodych, którzy dopiero dobijają się sławy i na tej pierwszej ogólnej wystawie zechcą wystąpić z czemś dobrze ich rekomendującem.

Pozwalamy więc sobie zainterpelować komitet, co dotąd zrobił w tej mierze?

Gdy mowa o interpelacji, to jeszcze jedną przyłączymy do poprzedniej. Co się dzieje ze zjazdem przyrodników i lekarzy, który był naznaczonym na rok 1878, potem z powodu wystawy paryskiej był posunięty o jeden rok, lecz mimo że już 1879 minął, o zjeździe ani słychu. Komitet zjazdu znajdujący się w Krakowie, pomimo parokrotnych zapytywań, nie daje znaku życia.

Na posiedzeniu towarzystwa przyrodników pan Abakanowicz postawił wniosek, żeby wydział tego towarzystwa wysłał w tej sprawie pismo z prośbą o wyjaśnienie do Krakowa, lecz dotąd niema jeszcze rezultatu.

Co się tam dzieje? Czy może zniknął gdzieś komitet przez ostatni zjazd we Lwowie wybrany, czy wymarł zupełnie?

* * *

Po występach pani Modrzejewskiej, Lwów trzymał się trochę zdala od teatru, teraz znowu się dość licznie gromadzi i sypie oklaski pannie czy pani Bocskay (nie wiem jak to się wymawia), śpiewaczce operetkowej.

Ale przypominamy sobie, że jeszcze więcej osób było w teatrze, gdy występowała Miss Wanda i zaczepiona nogami u stropu, łowiła w zęby lecącego przez powietrze chłopa.

Jeszczeby więcej przyszło, gdyby jaki murzyn zjadał na scenie żywego barana!

Lecz — żart na stronę. Jeśli publiczność domaga się koniecznie utworów wesołej muzy, to niechże one będą podawane w wesoły sposób. Otóż panna czy pani Bocskay zupełnie odpowiada temu zadaniu i jest na swem miejscu. Rolę Władymira w Fatynicy grała i śpiewała należycie, a publiczność bawiła się.

Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

Tymczasem przygotowuje się Neron Piotra Cossy w tłumaczeniu Kazimierza Kaszewskiego. Jest to rzecz prześliczna. Ładnowski gra rolę tytułową.

* * *

Joszcze na parę miesięcy przed rozpoczęciem karnawału *Czas* krakowski został nawiedzony szałem fejletonowym.

Sążniste rozprawy o niczem w formie odcinkowej, pielęgnowane przez cztery niańki, zaczęły się ukazywać co sobotę. Potem do tych przybyły dwie nowe, także w fejletonie, a potem mnóstwo innych w górnych piętrach pisma. Cała powódź humorystyki. Przynajmniej pięćset wierszy w jednym numerze. Niedługo mają się okazać osobne dodatki, bo zacznie braknąć miejsca na telegramy.

Feljetoniczność czyli feljetonizm ten, jest parawanikiem wysuniętym naprzód, po za którym odbywa się mały zwrot na lewo czy na prawo, w ogólnym kierunku pisma. Opportuniści nasi krakowscy zwijają chorągiewkę, jak wiadomo, i przywdziewają na siebie nową barwę i nowe ubranie. A przecież przebierać się bez parawanu, *coram populo*, zaczynając od zdejmowania krawatki a kończąc na bardziej esencjonalnych częściach ubrania, jest rzeczą cokolwiek nieprzyzwoitą.

To też ginie to w wielkiej słów powodzi. Woda... woda... woda...

Czy widzieliście kiedy indyjskich bałwanów. Olbrzymie, bezkształtne, potworne, o niewyraźnych członkach, z gębą od ucha do ucha, a jednem okiem na czole. Brzydkie to, niesmaczne a wielkie co do rozmiarów jak kroniki *Czasu*; a jednak pomiędzy masami cielska bezkształteego osadzonem jest oko z oszlifowanego djamentu, przeczystej wody, skrzące się tysiącem płomieni, albo perła arcyrzadka wielka jak jajo, o miękkim a wytwornym połysku, przewyższająca wartością wszystkie klejnoty Indji.

Żeby choć jedna taka perła, na ogromnem cielsku kronik krakowskich. Same szkiełka czeskie, kruche a tanie.

Cieplutka, jednostajna woda, wylewająca się strumieniami z szybkością wielu metrów na sekundę. Żeby kurek jaki do przykręcenia, żeby jaka szluza do zatrzymania wezbranego żywiołu.

Woda i woda...

W krakowskiej łaźni, pod tuszem, znajduje się napis następujący:

»*Uprasza się o niepotrzebne niewypuszczanie wody.*«

Głęboką sentencję ukrytą w tych kilku słowach, skreślonych ręką jakiegoś filozofa, radzimy wziąć pod uwagę kronikarzom piszącym pod pseudonimami I, II, III, IV.

Mogą z tego zrobić studjum zawierajace przynajmniej 3000 wierszy.

Naprzód należałoby się zastanowić czy nie lepiej byłoby zmienić ten napis na inny:

»*Uprasza się o potrzebne niewypuszczanie wody.*«

A jeśliby to nie przypadło do smaku przelewaczom wody feljetonowej, to możnaby odwrócić

»*Uprasza się o niepotrzebne wypuszczanie wody.*«

To, jak się zdaje, zupełnieby odpowiadało.

* * *

Oglądaliśmy zeszyt zbiorowy p. t. *Paris-Murcia*, wydany na korzyść nawiedzonych powodzią w Hiszpanii.

Najznakomitsze siły literackie i artystyczne złożyły się na to, aby dać coś... bardzo miernego. Oklepane frazesy, banalne sentencje, tu i owdzie iskra dowcipu francuskiego... oto wszystko.

Wiktor Hugo rozpoczyna naturalnie zeszyt patetycznym ustępem, zakończonym, jak z góry można było wiedzieć, zdaniem, iż Paryż jest stolicą świata.

Najciekawszym jest zbiór autografów z różnemi sentencjami i podpisami znakomitych ludzi. I tak np. Gorczakow przed podpisem umieścił zdanie, że „sumienie jest moim sędzią“. Domyślamy się jaki wyrok zapadnie.

Pomiędzy znakomitymi ludźmi, których autografy podano, znajdujemy tylko jednego Polaka. Jest nim kardynał Włodzimierz hr. Czacki, nuncjusz papiezki w Paryżu. On jeden z pomiędzy całego tłumu zdobył się na wypowiedzenie czegoś całkiem nowego, niespodziewanego, oryginalnego.

Napisał „Deus est sapiens, bonus et omnipotens.“

Sarah Bernhardt, pierwsza artystka francuska, dała małą ale śliczną bajeczkę, którą w całości dla jej oryginalności przytaczamy:

„Wszystkie wróżki zgromadziły się około kołyski dzieciny.

Ojciec i matka wzruszeni i pełni poszanowania, słuchali życzeń każdej z nich. — „Dziecię, ty będziesz pięknem, wielkiem; będziesz nosiło złote korony! będziesz bohaterem! Tłum będzie ci dawał oklaski; twoi wielbiciele w szale ciągnąć będą twój powóz; poruszać będziesz narody do płaczu, śmiechu i drżeć będą od słów twoich. Poeci sypać będą swe perły przed twe stopy, muzycy oddadzą swe liry ku wielbieniu twej chwały. Setki heroin będą cię kochały. Trucizna, sztylet będą bezsilnemi wobec ciebie; sława twa przejdzie przez góry i przez oceany.

Matka upadła na kolana, składając wróżkom dzięki. Lecz podwoje raptownie się otwarły i ukazała się wróżka Wiecznej Chwały.

„Nie mogę, rzekła, odebrać darów sióstr moich; lecz aby ukarać zapomnienie wasze, oto są moje wróżby: Złote korony będą z papieru: dziecię będzie się śmiało, płakało, kochało, lecz z woli innych. Ci nawet co dawać mu poklask będą, odmówią srodze nawet odznaki dawanej obywatelom wybranym. Lud, którego będzie bożyszczem, złamie je w pełni chwały i pociągnie jeszcze drżące pod wrażeniem wczorajszych oklasków do rydwanu nowego bohatera. Wawrzyny zmienią się na jego czole w nieśmiertelniki i umrze w smutku i zapomnieniu, nie zostawiając nic — nic po sobie.

— Czemże więc będzie? — wykrzyknął ojciec przerażony.

— Będzie aktorem!“

Wtedy podniosła się powoli wróżka śmierci. „Dziecię, ja cię pomszczę, powiedziała; po twej śmierci zgniotą rodzącego się artystę ciężarem twego wspomnienia.“

Tych kilka egzemplarzy *Paris-Murcie*, które zawędrowały do Lwowa, rozrywane są na wszystkie strony.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

(*Mózg i jego czynności przez Luys'a, przełożył dr. T. Dunin. Spółka Nakładowa. Warszawa 1879.*)

Badania nad mózgiem są zbyt świeżej daty, ażeby można było wymagać od nich, by dały nam odpowiedź na wszystkie pytania dotyczące histologicznej budowy mózgu i jego czynności. I nie jest to wcale przesada, co powiedział sławny G. H Lewes z powodu dzieła Ferrier'a o mózgu, że jest ono jednym z licznych dowodów, jak mało wiemy coś pewnego o mózgu. Zresztą każdy o tem sam się może przekonać, kto zajrzy do Anatomji opisowej Quain-Hoffmana albo do Physiologische-Psychologie Wundta.

W obec takiego stanu rzeczy dziwną się może wydać dogmatyczna pewność, z jaką Luys w swem dziełku wygłasza twierdzenia, które po bacznem w nich rozpatrzeniu się okazać się muszą co najwięcej przypuszczeniami. Powiadam: co najwięcej, gdyż każde przypuszczenie powinno się opierać na jakimś fakcie a przynajmniej na analogji; tymczasem przypuszczenia p. Luys'a, zkądinąd zasłużonej używającego sławy znakomitego anatoma są tego rodzaju, że słusznie zalicza je cytowany już J. H. Lewes w ostatniem swem dziele: The Physical Basis of Mind, do-Imaginary Anatomy.

Dziełko p Luys'a, obrachowane na spopularyzowanie ostatnich wyników, do jakich go doprowadzić miały jego badania nad mózgiem — rozpada się na dwie części: anatomiczną i fizjologiczną.

Pierwsza część zawiera właśnie twierdzenia, które albo wprost sprzeciwiają się sprawdzonym w anatomji i fizjologji faktom, albo są przypuszczeniami na niczem nieopartemi. Do pierwszych należy twierdzenie, że tak zwane wzgórki wzrokowe sąześrodkowaniem zmysłowych wrażeń. Otóż połączenie anatomiczne nerwów zmysłowych z wzrokowemi wzgórkami nie jest dowiedzionem (Patrz: Wundt. Phys. Psych.): a następnie wiwisekcje dowodzą że głębsze cięcia wzgórków wzrokowych wywołują w zwierzęciu obrotowe ruchy a bynajmniej nie wpływają na wzrok; że przeciwnie wrażenia wzrokowe są w ścisłym związku z czworaczemi ciałkami, których ścięcie spowoduje natychmiastową ślepotę. (Patrz: jakąkolwiekbądź fizjologję). Do drugich, t. j do przypuszczeń, na niczem nieopartych, należy twierdzenie, że pomiędzy komórkami ścisłe zachodzi połączenie za pomocą włókien nerwowych, że z komórek czuciowych wzgórków wzrokowych idą włókna nerwowe do górnych warstw szarej masy mózgowej i tam połączywszy się z małemi komórkami, schodzą w głąb, gdzie się łączą z komórkami wielkiemi ruchowemi, że wyszedłszy następnie z tych ostatnich, wchodzą do ciałek prążkowanych, z których po kolei przechodzą do rdzenia pacierzowego. Do dziś dnia nie doszły jeszcze mikroskopowe badania do takiej doskonałości, ażeby można było wyśledzić tego rodzaju przebieg pojedyńczych włókien nerwowych. (Patrz: Lewes: Phys. basis of Mind str. 268) Co się tyczy obdarzania komórek *metaboliczną* władzą *idealizowania* zmysłowych wrażeń i *materyalizowania* idei – przerabiania wrażeń na myśli, a myśli na ruch dowolny, to tenże Lewes w zacytowanem już dziele na str 248 powiada, że przypomina mu to wiarę dzikich ludów, które kawałkowi drzewa lub kamienia przypisują cudowną moc leczenia chorób i zabezpieczania od nieszczęść.

Druga część, fizjologiczna, wykazująca jak pod wpływem pewnych zmian cielesnych, pod wpływem warunków fizjologicznych, wytwarza się stopniowo świadomość i wszystkie jej stany, znane pod imieniem myślenia, uczucia i woli — odznacza się wykładem, który umie pogodzić naukową ścisłość z jasnością i przystępnością, a nawet z elegancją stylu. Część ta niezaprzeczoną przyniesie korzyść czytelnikom, którzy przekonają się z niej, jak ściśle sprawy naszego umysłu łączą się ze sprawami fizjologicznemi, będącemi koniecznym dla tamtych warunkiem, Ażeby wszakże czytelnik mógł z jej odczytania właściwy odnieść pożytek, winien pamiętać, że dziełko p. Luys'a w drugiej swej części wychodzi z błędnej zasady, a mianowicie, że cząsteczkowy ruch nerwowej masy, a wrażenie, które w skutek tego ruchu powstaje, jest jedno i to samo. Przeciwko takiemu zapatrywaniu się czysto, materjalistycznemu, protestują Spencer, Bain, Mill, Tyndal, Huxley, Tain Wundt i wielu innych filozofów i przyrodników, którzy bardzo słusznie utrzymują, że zjawisk fizjologicznych, dających się sprowadzić do ruchu, i zjawisk psychologicznych za jedno brać nie można, że niepodobna sprowadzić jeden szereg zjawisk do drugiego, wykryć taką między niemi zależność, jaka np. istnieje między ruchem a cieplem. Fizjologiczne zjawiska są koniecznym warunkiem zjawisk psychologicznych; ale żeby miały być ich przyczyną, tego powiedzieć nie możemy. Wolno metafizykom, tak materjalistycznym, jak i spirytualnym twierdzić, że jest tylko jedna substancja — materja lub duch — której objawami są zjawiska psychiczne i fizjologiczne; ale nie może tego powiedzieć filozof, który, niezadowalając się frazeologią, we wszelkich pomysłach szuka rzeczywistej podstawy, który drogą ścisłej analizy umysłu przyszedł do przekonania, że tylko doświadczenie i obserwacja wiodą nas do wykrycia prawdy, ale prawdy względnej, nie mającej nic wspólnego z absolutem i z różnego rodzaju substancjami.

Na zakończenie wypada nam powiedzieć, że tłumaczenie jest bardzo dobre tak pod względem oddania myśli autora, jak i języka. Dokonał go p. Dunin, znany już z tłumaczenia ostatniej części Anatomii Qain-Hoffmana.

Władysław Kozłowski.

Świstki Sylena. Pozbierała Etcetera Bomba. — Także Meandry Poznań, drukiem J. I. Kraszewskiego.

Rzecz, o której mówimy, ukazała się już dawno, bo ze trzy lata temu więc nie jest wcale nowiną. Ale przeszła ona tak niepostrzeżenie, tak nieznacznie, jak na to z pewnością nie zasługiwała.

Świstki Sylena, są zbiorkiem wierszy o nastroju humorystycznym osnutych przeważnie na tle starożytnem. Pełno w nich treści i wykwintnego humoru, z forma jest w całem znaczeniu tego słowa misterną.

Pod tym względem służyć one mogą za wzór falandze nowych młodych poetów o rozczochranym stylu i rozkwilonej lirze. Dobra forma, to tyle, co piękna linja w rzeźbie; zdrowy nastrój tyle, co zdrowe ciało.

Na próbkę podajemy parę wierszy charakterystycznych:

POGRZEB IBISA.

W Memfisie starym co za orszak mnogi
Niby to stoi, a idzie —
Mając zwrócone głowy, ręce, nogi,
Ku wielkiej, ku piramidzie?

Idą: wszechmocny wół o plamie białej —
Wszechmiłosierne krogulce —
I chrząszcze pełne wiekuistej chwały,
W najświętszej skrzydlatej kulce —

Wąż trzymający w zębach ogon śliski,
Przedwieczne bóstwo bez końca —
Szakal, Moc Twórcza, opatrznemi błyski
Padlinę wszędzie wietrząca —

Dzielny krokodyl, bóg na wszystkie strony,
Lotus, co z wód się wychyla —
Święta cebula i błogosławiony
Szczur wodny, wróg krokodyla.

Lecz zkąd te zewsząd smutki i rozpacze?
Apis kopytem dół grzebie,
Zmartwił się Lotus i krokodyl płacze,
Szakal wziął ogon pod siebie...

Stał Anacharsys, utrapiony Scyta
Wielki ciekawiec jak wiemy —
Pyta się wszystkich, ale próżno pyta,
Bo każdy głuchy czy niemy.

Tedy się pyta Sfinksa z czołem płaskiem
Lecz z bystrym rozumem w głowie;
Sfinks nie był jeszcze zasypany piaskiem,
Więc mu w te słowa odpowie:

— Spójrz na te mary, które z czcią żegnamy,
A sam się zmartwisz nie mało!
Bo na nich stoi, spowite w balsamy
Ibisa najmędrsze ciało.

Spojrzał, lecz jakoś nie zmartwił się wcale,
On zatwardziały nasz Scyta.
Wtem, widząc zewsząd coraz srozsze żale,
W prostocie ducha znów spyta:

— A cóż ten Ibis? — Ibis w gęste błoto
Włażąc po łydki świat czyści. —
— No więc cóż z tego? — Więc go za to oto
Grzebiem jak najuroczyściej —

Więc Anacharsys, barbarzyniec duży,
Nie pytał więcej ni słowa;
Tylko w zapiskach ze swojej podróży
Taką uwagę zachowa:

— Kto chce świat czyścić i być wiele wartym
Niech w błocie brnie po kolana...
Dan w tysiąc ośmset sześćdziesiątym czwartym
Przed przyjściem Chrystusa pana,

Na tle starożytnem egipskiem, greckiem i rzymskiem snuje autor i wiele innych wierszy należących do zbioru, jak „Kochanka króla Cefrena", „Dno Czary", „Lydia Hetaira" i t. p. Robota wszystkich tych utworów iście koronkowa.

W innych wierszach satyra staje się ostrzejszą i bardziej gryzącą, jak w udatnym sześciowierszu na stronie 150tej:

Kapryśne losy raz pono
Coś i dla świni uczynią...
Wyryła w śmieciach, pod skrzynią,
Z pieniędzmi sakwę zgubioną –
Wtedy jej zaraz mówiono:
— Ach Jaśnie Wielmożna Świnio! —

Niekiedy wiersz staje się poważnym i pełnym treści a siły, jak w kilku zwrotkach zatytułowanych *E pur si muove:*

Co krok, wśród cierni jeżących się srodze,
Któremi iść trzeba śmiało,
Zostawia człowiek coś z siebie na drodze —
Jakże mu wtedy wymówić: „odchodzę",
Kiedy go tyle zostało?

Pamięć jest cząstką wonną nieskończenie
Dusz, które czas swój przebyły —
Równie jak zapach rwący się w przestrzenie
Choć w inne miejsce wzięto kwiat, — wspomnienie
Jest życiem z po za mogiły

I cząstką także nas, którą nawzajem
Zawczasu wieczność pochłania...
Więc biorąc z drugich, z siebie także dajem --
A tak wspomnienie jest jedynym rajem,
Z którego nie ma wygnania. —

Pod pseudonimem humorystycznym *Etcetera Bomba*, ukrywa się jak wiadomo autor, podpisujący zwykle inne swe utwory imieniem Felicyan.

WIADOMOŚCI z KRAJU i ze ŚWIATA.

Literatura.

*** J. I. Kraszewski ogłasza co następuje: Nie wiedząc nazwiska ani adresu ofiarodawcy, który rubli rs. tysiąc na wydawnictwa ludowe nadesłał redakcji „Bibljoteki Warszawskiej", drogą dzienników ośmielamy się zapytać go, czyby nie życzył sobie funduszu tego przyłączyć do „Macierzy". której zadaniem jest także oświata ludu. Prosimy dzienniki o powtórzenie tych słów kilku.

Drezno 18. gradnia 1879 r.

J. I. Kraszewski.

*** Zabawna humoreska Wilczyńskiego pod tytułem: „Misja familijna" ukazała się świeżo w handlu księgarskim.

Drukowaną ona była poprzednio w *Wieku.*

*** Świeżo opuściła prasę w oddzielnej książce powieść J. I. Kraszewskiego pod tytułem: „Herod baba."

Drukowana ona była dawniej w piśmie perjodycznem „Wieńcu.

*** Liczbę dzieł odnoszących się do historji Polski, wkrótce już pomnoży praca profesora uniwersytetu warszawskiego p. Adolfa Pawińskiego, który opracował i przygotował do druku „Historję finansów Polski w XVI wieku."

***Powieść Walerego Przyborowskiego pod tytułem: „Rubin wezyrski" wyszła z druku w oddzielnej książce.

*** Opuścił prasę zbiór dwutomowy „Powieści ukraińskich" Stanisława Grudzińskiego.

W oddzielnej też odbitce ukazała się powieść tegoż autora, zatytułowana „Pod szczęśliwą gwiazdą."

*** P. Antoniego Pileckiego „Poezji" wyszedł z druku zeszyt 1-szy nakładem autora.

Niestety w dzisiejszych czasach jest to jedyna droga, za pośrednictwem której aspiranci do sławy poetycznej mogą się dać poznać publiczności.

Wydawcy przestali hołdować muzom, czują nawet wstręt do nich!

*** Trzy odczyty p. Kleczyńskiego „O Szopenie" wyjdą wkrótce w przekładzie francuskim w Paryżu u Feliksa Mackar.

*** Ukazała się w handlu księgarskim powieść pod tytułem: „Tajemnicza szkatułka", przez E. Puffke.

*** Słyszeliśmy o zamiarze wydawnictwa w Warszawie nowego tygodnika naukowego, oraz czasopisma poświęconego modom i gospodarstwu kobiecemu

*** Opuściła prasę „Księga Adresów miasta Lwowa na r. 1880, wydana przez p. A. Kleczewskiego. Jest to pierwsza publikacja tego rodzaju u nas, dająca wszelkie informacje nadzwyczaj dokładne, drobiazgowe nawet, i dla tego powinna się znajdować w ręku każdego Lwowianina.

*** Z początkiem przyszłego roku wyjść ma w Krakowie książka illustrowana p. t. Jubileusz J. I. Kraszewskiego, z której czysty dochód przeznaczono na wzniesienie pomnika Mickiewiczowi. Redakcją tej książki zajmują się pp. A. H. Kirkor, J. I. Rolla, ks. Jan Siemiański, Alfred Szczepański i inni.

*** W tych czasach wyszła z druku książeczka p. t. „Trzy epizody z życia szlacheckiego" przez Piotra Jaksę Bykowskiego. Napisy tych epizodów są: Świecone w Łabuniu u Wojewody Stepkowskiego, Córka hetmańska Mirza-Tadź-El-Faher Emil, Wacław Rzewuski (z portretem).

*** Sprawozdanie Wydziału Czytelni Akademickiej we Lwowie, za r. 1878/9, wyszło z druku w oddzielnej odbitce.

*** W Lipsku wyszła w tych dniach w języku niemieckim praca pana S. Bohdanowicza p. t. „J. von Kraszewski in seinen Werken — eine biographische Skizze."

Broszura ta o 160 stronnicach mieści biografię Kraszewskiego, spis dzieł, kilka słów o obchodzie jubileuszowym, i cały tekst mowy wypowiedzianej przez jubilata w Krakowie.

Kończy rzecz szereg aforyzmów wyjętych z dzieł Kraszewskiego.

*** Słownik mimiczny dla głuchoniemych i osób z nimi styczność mających, opracowany przez ks. Józefa Hollaka, b. profesora warszawskiego instytutu głuchoniemych i ociemniałych, przez ks. Teofila Jagodzińskiego, wice dyrektora tegoż zakładu We wstępie podane są ogólne wskazówki, dotyczące metody nauczania tak srogo przez naturę ukrzywdzonych ludzi, a mianowicie: dwa sposoby rozmawiania na migi: ideograficzny i, daktylologiczny (to jest przedstawienie pojęć obrazami najbliżej rzecz malującemi i palcowanie). Następują przykłady, objaśniające obie metody (palcowanie ma być metodą mniej dokładną i niepraktyczną); potem rycina alfabetu ręcznego czyli palcowego. Po wstępie mamy słownik mimiczny. Oto przykład: „Ach! (wykrzyknik) uderzywszy dłoń prawą o lewą, załamywać ręce, z wyrażeniem na twarzy przerażenia lub boleści." Metodzie ideograficznej autorowie przyznają wrższość dlatego. że jest ogólnie ludzką, powszechną; metoda palcowa jedynie w określeniu imion własnych może być wygodną.

*** Pamiętniki Ludwika hr. de Laveaux, wydał z rękopismu L. D. L. w Krakowie. Ustępy z tych Pamiętników umieszczał ś. p. Lucjan Siemieński w Czasie. Autor ich oprócz prac pozostawionych w rękopiśmie, ogłosił drukiem pomiędzy innemi: „Obraz piękności natury" (1820); „Górale Beskidowi" (1851). „Uwagi krytyczne nad życiorysem Szymona de Cortecello" Do rzędu obszerniejszych należy obecnie wydane, już pośmiertne jego dzieło (umarł r. 1870). Spisując wypadki i wrażenia osobiste, autor dotyka tu i ogólniejszych widnokręgów dziejowych, jakie go w ciągu długiego żywota otaczały. Styl jasny, ton czerstwy, nieraz humorystyczny, z zacięciem przypominającem Paska, a to wszystko otchnione miłością tradycji, nadają miły wyraz całemu utworowi.

*** Ważnem i godnem przekładu jest dzieło pani Brassey, opisujące jej podróż naokoło świata. Pani Brassey, żywością opowiadania i zdrowym poglądem przypomina Idę Pfeiffer, a plastycznością przedstawienia nieraz ją przewyższa, Szczególniej interesującemi są obrazy Japonii i wysp Sandwich. Styl wytworny obok poważnej treści sprawiają, że od książki trudno się oderwać.

*** Do rzędu znakomitych dzieł należy publikacja angielska: Encyklopedja kuli ziemskiej, która doszła już do tomu VI. i ostatniego. Tytuł jej szczegółowy jest: The Globe Encyclopaedia of Universal Information. W Encyklopedji tej nie pominięto i naszych znakomitości literackich i artystycznych.

Nauka.

*** Krakowska Akademia umiejętności przygotowuje się do uroczystości Długosza po Zielonych Świątkach roku 1880. Zwłoki Długosza złożone zostaną na Skałce. Odbędzie się publiczne posiedzenie akademji. Nastąpi też prawdopodobnie zjazd archeologów i historyków: polskich, niemieckich, czeskich, rosyjskich, morawskich, z akademją w stosunkach zostających.

*** Za staraniem Akademji umiejętności w Krakowie ogłoszoną zostanie w niedługim czasie cenna praca znakomitego historyka księdza Walerjana Kalinki pod tytułem: „Sejm czteroletni."

*** W sprawozdaniach komisji fizjograficznej Akademji Umiejętności, zamieszczono nader interesujący Opis badań geologicznych dokonanych w królestwie Polskiem w r. 1878, oraz spostrzeżeń we wsiach Zbrzy i Kleczanowie przez J. Trejdosiewicza, (str 11). Część pierwsza obejmuje trzy wstępy: Odkrycie pokładu formacyi kredowej w pow. Łódzkim, gub. Piotrk, O znaczeniu granicy między formacją dewońską i trjasową w Okolicy Opatowa, Wapienie trzeciorzędowe w gub. Lubelskiej. Część druga: Łupki sylurskie i wapienie dewońskie pod Zbrzą. Skały sylurskie w Kleczanowie, kwarcyty dewońskie gór Kieleckich.

*** W Krakowie wyszły staraniem i nakładem stowarzyszenia do wydawnictwa dzieł lekarskich, dwie ważne prace: Choroby serca i tętnic przez dr. Oskara Widmana i Psychologia forensis, czyli nauka o chorobach umysłowych w zastosowaniu do sądownictwa, szczególniej do praw obowiązujących w Królestwie Polskiem i Galicji, przez dra. A. Rothego.

*** Towarzystwo naukowe Toruńskie rozpisało konkurs na dzieło opisujące miasto Toruń.

Nagroda ma wynosić 500 marek.

Opis miasta Torunia powinien zawierać krótko a przystępnie napisany ustęp o założeniu i dalszym historycznym rozwoju Torunia z uwzględnieniem miejscowych podań i legend, sposobu życia i zarobkowania mieszczan toruńskich za czasów polskich, tudzież historję cechów miejskich.

Przytem należy przedstawić opis życia flisaków. Dalej wypada opisać wszystkie pięknejsze kościoły, ciekawsze budynki i zbiory toruńskie, odżywić przy tych opisach wspomnienia historyczne.

Komisja konkursowa zastrzegła także, aby praca wolną była od dążności uwłaczających religii.

Rękopisma należy przysyłać na ręce pana Adama Sierakowskiego, w Waplewie pod Starym Targiem (Altgrad) przed pierwszym kwietnia 1881r.

*** Gazeta Warsz. (w n. 245) z powodu głosów hołdu dla Kraszewskiego, jakie odezwały się i we Francji (gdzie Jubilat szczególniej wspominanym jest jako tłumacz pieśni litewskich), donosi o powstałym projekcie utworzenia towarzystwa litewskiego. Myśl tę postanowiono na zjeździe w Tylży d. 14 października W skład ciała projektującego wchodzą i poważne nazwiska, jako to: Schleichera, Polta, Schmidta, Miklosicza i innych, bezwątpienia zasłużonych lingwistów. „Miklosicz, mówi Gazeta Warszawska, ten uczony Słowianin pośród znakomitości niemieckich mocno nas uderzył. Jeżeli założyciele Towarzystwa litewsko-literackiego, zgłosili się do Miklosicza, dlaczegoż pominęli ks. Malinowskiego, głębokiego znawcę litewszczyzny? Wszak z Tylży nie tak daleko do Komornik pod Poznaniem. Dlaczego pominęli dra Karłowicza, który ciekawą ogłosił rozprawę o języku litewskim.

*** Z drukarni E. Martineta w Paryżu wyszedł świeżo „Pamiętnik towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu — tom XI, nakładem biblioteki kórnickiej 1879."

Rozprawy na 386 stronnicach zawiera tom ten następujące:

K. Hertza: „o funkcjach źwierzęcych pochodnych;"

F. Kramsztyka: „optometrja objektywna;"

M. Hulewicza: obliczanie wytrzymałości łuków sztywnych";

W. Zmurki: badania w dziedzinie nauki o równaniach oparte na poglądach analityczno-geometrycznych";

Natansona: „przyczynek do historji rozwoju trzech glist pasożytnych „(nematores);

Wł. Gosiewskiego: „przyczynek do teorji o prawie Marjotte'a".

Dodane są też materjały do słownictwa naukowego polskiego.

Niniejszy tom „Pamiętnika" jest już 30-m dziełem matematycznem, wydanem staraniem i nakładem właściciela biblioteki kórnickiej hr. Jana Działyńskiego.

*** Literatura etnograficzna zyskuje znakomity przyczynek: jest to publikacja p. t. „Ameryka północna malownicza (L' Amerique du Nord. Pittoresque). Wychodzić będzie co tydzień zeszytami. Całe dzieło zawierać będzie 800 stronnic in 4o. Illustracje (300), wyjdą z pod ręki najznakomitszych artystów amerykańskich i przedstawiać będą owe cuda natury Stanów Zjednoczonych i Kanady, która przewyższa wyobraźnię ludzką.. Publikacja ta wychodzić będzie w Paryżu, nakładem A. Quantin Cena wyniesie 60 70 fr.

*** Jan Chrzciciel Vico („Giambatti Vico als Philosoph und Gelehrter Forscher," przez Karola Wernera). Pod tym tytułem wyszło u Faery Frich w Wiedniu dzieło, w którem autor przedstawia cały tok studjów z systematu wielkiego reformatora filozofii i historji włoskiej.

*** Zwracamy uwagę czytelników na nowe pismo miesięczne: „Afryka zbadana i ucywilizowana" („L'Afrique explorée et civilisée")wydawane przez Gustawa Moywich pod redakcją M. Charles Faure, w Genewie i Newszatelu.

Sztuki piękne.

*** „Echo muzyczne" donosi, iż nakładem p. F. Hösicka wychodzić będzie „Szkoła skrzypcowa" układu niepospolitego skrzypka i profesora Władysława Górskiego.

*** Gustaw Doré zajęty jest ilustrowaniem dramatów Szekspira.

Teatr.

*** Dowiadujemy się od osoby dobrze poinformowanej, że w Petersburgu na jednej ze scen ma wystąpić trupa polska dramatyczna, i że stosowne pozwolenie jest zapewnionem. Żałujemy, że w liczbie wszystkich trup polskich, któreby mogły zrobić wyprawę do Petersburga, nie widzimy żadnej godnej reprezentowania sztuki polskiej.

Jeżeli zaś ma tam sprezentować swe skarby jaki warszawski teatrzyk ogródkowy, to lepiej by nie przedsiębrać tej wyprawy po złote runo która zrobi fiasko i śmiechem zakończy się może. Wprawdzie sztuka polska nic na tem nie straci, wielu bowiem

Rosjan zna dobrze teatr warszawski i będzie wiedziało co o tem sądzić, ale wybierający się dobrze by zrobił pamiętając, iż wstydu przed obcymi czynić się krajowi nie godzi.

*** P. Mierzwiński, który długi czas śpiewał w Marsylji, występuje obecnie w wielkiej operze paryskiej.

*** W Monachjum Patti miała świetne powodzenie, jakkolwiek rezultaty pieniężne okazały się niedostateczne. Wysokie ceny odstraszały Monachijczyków i tylko wyższe tańsze regjony szczelnie były zapełnione, inne miejsca przedstawiały luki. Drugie przedstawienie nie doszło do skutku.

*** W „Folies dramatiques wystawiono nową operetę Offenbacha p. t. „Córka tambour-majora". Tekst p. Chirot i Duru. Muzyka nie znalazła powodzenia.

*** W Paryżu w hotelu Druot sprzedane zostaną przez publiczną licytację ruchomości i przedmioty sztuki pozostałe po głośnym tenorze Rogerze w celu przyjścia z pomocą pozostałej po nim rodzinie.

*** Dwa znakomite utwory P. Ross-Neil świetnie rozpoczynają zimowy sezon sceny angielskiej. Są to dwie tragedje wysokiego nastroju: jedna z dziejów dworu Jakuba I: „Arabela Stuart": druga p. t. „Tasso" z żywota wielkiego poety. Szczególniej piękną jest „Arabella.

Imię autora już znanem jest z utworów dawniejszych, ale Arabella ustali sławę twórcy. Ross Neil jest dramaturgiem psychologiem. Umie pochwycić samo serce charakteru, silne natężenie akcji, osobliwa czerstwość realistyczna, wielkie myśli rozlane w tym poemacie. — są to przymioty rokujące tym utworom długie panowanie na scenie.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** P. Franciszek Schofer, właściciel ziemski, wydał broszurę p. t. „Ratujmy się póki czas," w której omawiając opłakane stosunki rolnicze Galicji, dochodzi do następujących wniosków:

a) Ażeby wydać ustawę orzekającą, że przy mniejszych posiadłościach nie należy dopuszczać do licytacji, ale pozostawić Gminie prawo administrowania majątkiem aż do spłacenia długu.

b) Ażeby zaprowadzić cło ochronne dla produktów rolniczych i bydła sprowadzanych do Galicji.

c) Ażeby uchwalić ustawę dozwalającą Gminom zakładanie kas pożyczkowych, na zasadzie obowiązkowej.

*** W Królestwie kongresowem słychać o projekcie podniesienia pensji duchowieństwu o 30% płac obecnych.

*** W Berlinie prywatna pomoc dla Górnego Szląska przyniosła dotąd na giełdzie około 90.000 marek. Za pośrednictwem prasy wpłynęło 93.000 marek, oprócz tego zebrano ciepłą odzież dla 600 ludzi.

*** Berliński „Reichs-Anzeiger" pomieszcza dekret ministra robót publicznych, upoważniający królewskie dyrekcje państwowych i pod zarządem państwowym pozostających kolei prywatnych, ostatnie z zastrzeżeniem pozwolenia reprezentacyj towarzystwa, do przewożenia bez opłaty frachtu, przeznaczonych dla dotkniętej głodem ludności pojedynczych obwodów Górnego Szląska ofiar w środkach żywności, odzieży, materjale opałowym itd.; oprócz tego inne drogi obniżyły do połowy opłatę za przewóz ziemniaków, przeznaczonych dla Górnego Szląska.

*** Dwanaścioro dzieci, powracających ze szkoły w Katowicach do wsi sąsiedniej, zamarzło wskutek silnego mrozu.

*** W Paryżu przy końcu ulicy św. Jakóba został otwarty nocny przytułek dla kobiet z wyższem wychowaniem. W zakładzie może znaleźć 140 ubogich mieszkanie, opał, żywność a nawet odzież. Przyjmowani są tu wyłącznie tylko ubodzy żeńskiego rodzaju, począwszy od 7 wieczorem do 9 rano. Do przytuliska tego dotąd zbierało się najwyżej 30 do 35 osób na noc. Z dobrodziejstwa korzystają najgłówniej nauczycielki, po których idą autorki, guwernantki bez miejsc i niewiasty opuszczone przez mężów.

*** Istniejące od r. 1875 polskie stowarzyszenie robotników w Monachium, posiadało z końcem roku gotówki 55 marek, dochodu 405 m., rozchodu 305 m. Między innemi czynnościami, towarzystwo to odrestaurowało pomniki zmarłych w Monachium Polaków i położyło nowe tablice z napisami nazwisk Natomiast Towarzystwo „Gmina" rozwiązało się.

*** Henryk Wieniawski ciągle jeszcze złożony jest ciężką chorobą; leży on w Maryjskim szpitalu w Moskwie. U łoża chorego przesiaduje całemi dniami Mikołaj Rubinstein. Podobno materjalne środki znakomitego skrzypka zupełnie się wyczerpały.

*** W Niemczech tak wiele obecnie ukazało się w obiegu monet fałszywych, iż rząd zmuszonym był wydać urzędowe ostrzeżenie, aby większą zwracano uwagę na przyjmowane srebrne i złote monety.

*** W Neapolitańskiem okolice Cantazaro niepokojone są obecnie przez bandę opryszków, której przewodzi młoda 25 letnia kobieta, Marja Crocci. Ma ona być niezwyklej piękności i jest wdową po rozbójniku poległym w walce z karabinierami. Podjęła ona broń swego zabitego męża i poprzysięgła zemstę. Odtąd sieje dokoła grozę, paląc domy, nakładając kontrybucje. Rozporządza liczną bandą dobrze uzbrojonych rozbójników.

*** W Pradze czeskiej zmarł w tych dniach dziwak, który obawę przed przeciągami posunął do bezprzykładnej przesady. Dziwak ten, p. Kunz, zimą i latem pozaklejane miał okna w mieszkaniu i zwykł był tylko po niektórych przechadzać się ulicach, dostatecznie wedle niego przed przeciągami zabezpieczonych. Bez względu na pory roku nosił kapelusz watowany, trzy koszule, tyleż kaftanów, co najmniej dwie pary inekspirmabli i kamizelek, a na tem wszystkiem zimowe palto.

*** Dziennik urzędowy księztwa Reuss ogłasza, iż książę Reuss-Köstritz Henryk XX., który lata poprzedniego ożenił się z panną Loisset, woltyżerką cyrkową, zrzekł się imienia księcia Reuss-Köstritz i przez księcia panującego młodszej linji wliczony został w stan baroński pod imieniem „Harry baron v. Reichenfels."

*** Chcemy powiedzieć słów kilka o nowym systemie gimnastyki, którego powszechne zastosowanie w naszym kraju nie byłoby bezużyteczne.

Ojcem systemu tego jest doktor Zander — a ojczyzną jego — Szwecja.

System ten zasługuje i z innego względu na ogólną uwagę: wynalazca onego uwieńczony świeżo został dyplomem honorowym na wystawie nauk ścisłych we Francji.

Znakomity doktor sztokholmski przesłał do Paryża przybory gimnastyczne swojego wynalazku, nie w tym przecież celu, aby przyniosły mu one medale i nagrody; chciał on, by jego gimnastyka dostąpiła prawa obywatelstwa w reszcie Europy, tak, jak go już dostąpiła w Szwecji.

Szlachetna ta chęć, zdrowie ludzkości całej mająca na celu, nie pozostała bezowocną, wystawa gimnastyczna doktora Zandera przyciągała tłumy ciekawych; a przybory jego wynalazku posłużyły za modele dla wszystkich.

Ale w czemże polega świetność tej nowej metody, głośno w tej chwili zachwalanej przez organa francuskie?

Postaramy się na to pytanie odpowiedzieć w krótkości.

Ktokolwiek ocierał się z bliska o stosowaną dziś powszechnie gimnastykę, ten niepodobna aby nie dostrzegł jednego jej niedostatku.

Wpływając najzbawienniej na rozwój ciała, zabiera ona przecież zanadto sił żywotnych, powodując zbyt wielkie zmęczenie.

Otóż oryginalność pomysłu doktora Zander polega na tem właśnie, aby gimnastykujący się nie zużywał sił swoich wcale, ale owszem stopniowo je rozwijał, zyskując ciągle, a nie tracąc nigdy.

Pomysł jego jest też nieoceniony w swych skutkach; zarówno chorzy, jak powracający do zdrowia, dzieci, jak osłabieni, ludzie nieprzywykli do ruchu, jak.. próżniaki, mogą oddawać się jego gimnastyce bez najmniejszego szwanku i znużenia.

Co więcej — są niektóre choroby, przy których dzisiejsza gimnastyka bezwarunkowo szkodzi, gimnastyka doktora Zandera nie szkodzi nikomu.

Cel bowiem, jaki starał się on przedewszystkiem osiągnąć, da się streścić w następujących słowach: ciągłe i stopniowe potęgowanie sił muskularnych zdobywa się przez ciągłe i stopniowe potęgowanie oporu przeznaczonego do zwalczenia.

Nie sposób tu opisywać szczegółowo przyborów, jakiemi się doktor Zander posługuje; opis niewiele by tu rzecz tę wyjaśnił, o której mógłby zaledwie dać jakie takie pojęcie rysunek, powiemy więc tylko, że zastosowanie w praktyce nowej metody gimnastycznej w całym świecie przyniosłoby nieobliczone korzyści, usuwając te niedostatki, z jakiemi dziś cała nieledwie młodzież walczy, a podstawiając jednocześnie te korzyści, które osiągnąć jednakowo wszyscy bez wyjątku pragniemy, a które streszczają się w jednym czarodziejskim wyrazie: „zdrowie."

Handel i przemysł.

*** Z Łodzi, w Królestwie, dochodzą złe wiadomości — brak zamówień, lub zwroty niedokładnie wykonanych towarów, sprawiają stagnację, która się wielu bankructwami skończyć może.

*** „Londyńska urzędowa Gazette" zawiera szereg królewskich rozporządzeń, dotyczących wprowadzania zagranicznego bydła. Zakazano i nadal przywożenia bydła pochodzącego z Austro-Węgier, Grecji, Włoch, Czarnogóry, Rumunji, z Rosji, z posiadłości sułtana włącznie z Bośnją i Hercogowiną, jakoteż z Belgji i Niemiec. Bydło zaś wprowadzane z Kanady, Danji, Szwecji, Norwegji, Portugalji i Hiszpanji nie będzie podległe ani kwarantannie ani biciu w krajowych portach.

Zjawiska przyrody.

*** Burze śnieżne spowodowały w różnych okolicach niesłychane spustoszenia. W Bernie wicher zrywał dachy, obalał kominy i wytłukł mnóstwo szyb. W lasach połamał tysiące drzew. Most wiszący pod Fryburgiem uległ silnemu uszkodzeniu. W Balfaux huragan obalił nawet wieżę kościelną. W Neuenburg wybuchł podczas burzy pożar, który jednak zdołano stłumić.

*** W Szwajcarji sroży się zima. W dolinie Urseren śnieg leży na wysokość człowieka. W Meyenthal, Maderanerthal i Schoechenthal śnieg tworzy warstwę grubą na 5 stóp. W Goeschenen, lawina zaskoczyła dwóch robotników. Jeden z nich zginął, drogi zdołał ujść niebezpieczeństwa.

*** W Górnych Włoszech i północnej Tobia panowały gwałtowne burze. I tak: we Florencji północny wicher z deszczem i śniegiem; w Rzymie i Neapolu południowe wiatry; w Ankonie południowo-zachodni wicher; w Tryeście Bora i nieustający śnieg; w Lesynie Sirocco. Silnemi burzami nawiedzona też Istrja i Dalmacja.

*** W Banacie temeseńskim nie ustają trzęsienia ziemi. Niemal każdego dnia, tak w samem mieście Temeszwarze, jako też w okolicznych miejscowościach obserwowane jest to zjawisko. W Temeszwarze uszkodzone zostały nieco domy w śródmieściu. Według urzędowego sprawozdania, trzęsienie ziemi uszkodziło w Nowej Moldawie 676 budynków. w Starej Moldawie 294, na węgierskie kolei państwowej 15, w gminie Koronini 115, ogółem 1100 budynków.

*** W Wenecji laguny zamarzły. Moc zimna jest tak wielka, iż zawieszono wszelkie roboty. Miastu zagraża brak wody.

*** Z Katalonji i Sycylji donoszą o spadłych tam obficie śniegach.

WSPOMNIENIE O LULU.

Na wspaniałem Kampo-Santo w Pizie, z muru cmentarnego dumnie spogląda niedoścignione arcydzieło programowego malarstwa. Arcydzieło to nazywa się „Tryum-

fem Śmierci“, nikt wszelako dotąd nie był w stanie dać dokładnego wyjaśnienia jego treści. Jest ono jak Dante i Faust wieczną zagadką sztuki. Petrarki „Trionfo della Morte“, które dało miano temu obrazowi, zaledwie przypada do jednej połowy jego, do drugiej Bocaccia wstęp „Dekameronu“ — gdy tymczasem komentarz duchowny podaje za źródło, dominikańską filozofię Ś-go Tomasza z Akwinu, która też niezawodnie usunie panujące obecnie powszechnie świeckie objaśnienie, albowiem jest ono najbardziej zbliżone do reformattorskiej idei malarza.

Bezwątpienia tony mistrza ukryły się pod skorupą restaurowań, miejscami wyblakły a nawet i gołym murem świecą, mimo to jednakże w całości fresk ten wywiera na widzu potężne wrażenie, jak za pierwszego dnia jego powstania. „Furja śmierci“ Petrarki, czarno odziana kobieta, pędzi przez etery z rozwianym włosem, z rozwiniętemi skrzydłami nietoperza, z rozwścieczonem obliczem i nieubłaganie wywija kosą na wszystkie strony. Już ludzka kośba w okrutnym chaosie pokrywa ziemię. Duchy piekielne z szponami, z wężowemi ogonami, skrzydłami nietoperzów, z psiemi uszami, wyrywają, podług bizantyjskich podań w obnażonej dziecięcej postaci przedstawione dusze, z ust królów i królowych, rycerzów i obywateli, zakonników i zakonnic, szarpią je, unosząc za włosy i nogi w powietrze, by je następnie cisnąć w piekielne czeluście najeżone stromemi skałami, — I anioły wszelako także nie próżnują. Uprowadzają przez śmierć na zbawienie wyznaczone dusze — lub też swarzą się z demonami o nie. Jest to potężna ilustracja do ostatniej sceny *Fausta*.

Nadarmo garstka biednych i nędznych wzywa śmierci dzierżąc w wyciągniętych rękach prośby. Ona nie zważa na nich, pozwala im żyć, by cierpieli i odwraca się z świszczącą kosą chętniej ku szczęśliwym, którzy muzyką się zabawiając, spoczywają tam pod granatami. Czy to dziesięciu narratorów „Dekameronu?“ Ubóstwiana Fiametta Bocaccia ze skrzypcami, Dioneo z lutnią, Pamfilo i Lauretta w słodkiej gawędzie miłosnej? Ów człowiek z sokołem na dłoni, ta wzniosła kobieta zapuszczająca palec w paszczę lwa młodego, wszyscy ci muzyką zabawiający się mężczyzni i kobiety, czyż mają być oznaką zwycięstwa rozkoszy ziemskich? Czy owa postać zamyślona z głową opartą na dłoni jest *vir Contemplativus* Tomasza z Akwinu? Któż odgadnie i zrozumie nieznanego nawet malarza... O ileż jaśniejszą jest, a tem samem w swej nie wymuszonej jasności, bardziej porywającą grupa umieszczona z przeciwnej strony. Na górze życie pobożnego rozpamiętywania: modlący się, ogród orzący zakonnicy — a pod spodem przeciwstawienie świetnych rozkoszy ziemskich: znakomite towarzystwo myśliwych na koniach, któremu nagle trzy groby tamują drogę. Węże wiją się jako symbol zgnilizny do koła trupów, które oznaczają trzy perjody po ośm godzin, które w Santo-Campo wystarczają do zgnicia. Rżąc i z oporem zbliżają się szlachetne bieguny, podczas gdy ich jeźdźcy na w pół z ciekawością, na w pół z przestrachem przyglądają się ponuremu *Memento mori*. Jeździec ukoronowany, którego tradycja Ludwikiem Bawarczykiem nazywa, nos sobie zatyka, młody palatyn Ernardo pochyla się naprzód, rycerz Castracani pokazuje swej córce to straszne widowisko. Patrz, oto zbliża się pobożny pustelnik i podaje chciwemu rozkoszy ziemskich towarzystwu rolkę z napisem, przedstawiającą *Fabula docet* przeszłości:

Gdy trupów tych spojrzenie
Na wskróś nasz zmysł przewierci,
Wnet zblednie nasza próżność
Przed majestatem śmierci.

*
* *

Gdym 1877 r. po raz pierwszy stanął przed tym obrazem, którego tragiczna potęga kazała mi zapomnieć o wszelkich świeckich i duchownych komentarzach, mało się tem interesowałem, czy arcydzieło to zawdzięcza swą egzystencję pomysłowości pokutującego Petrarki, scholastyce Świętego z Akwinu, czy też zdrowej zmysłowości wesołego Bocaccia. Genialność malarza nie dozwalała przejść progu świątyni jego arcydzieła innemu uczuciu, jak tylko podziwieniu, zachwytowi i emocji. Zdało mi się jak gdybym sam miał owego zielonego węża w swych wnętrznościach, rozkosz *Vita contemplativa*, kosę, szpony demonów i zarzewie przekleństwa...

W tej chwili właśnie młotek tak głośno zastukał u drzwi, żem ocknął się z zamyślenia. Weszło towarzystwo złożone z 10-ciu blisko osób. Były to po największej części młodzi ludzie — Anglicy, jak się o tem zaraz z wprawnego oka przekonałem. Zwykle w domu zaklinający się za swój cylinder wyspiarz, nosi w podróży zawsze niski sztywny filcowy kapelusz i tylko on trzyma laskę pochyloną rączką ku dołowi. Taki włóczęga jak ja staje się Lawaterem, zupełnie jak każdy garson hotelowy, który po obuwiu podróżującego poznaje jego wiek, stan i pochodzenie.

Można było się domyśleć, że ci państwo przybyli wprost z Lunchu z „Gran-Bretagna“. A może to słońce zaczerwieniło im oblicza... W każdym razie wszyscy byli weseli, i zapełnili w jednej chwili całą tę siedzibę umarłych śmiechem i wrzawą. Tylko jedna wysoka dama z pomiędzy nich zachowywała się spokojniej, jakkolwiek od czasu do czasu zwracała się to do jednego, to do drugie go z żartem lub pełną gracji uwagą — nigdy jednakże nie zadawała kłamu swemu pewnemu zachowaniu się Była ciągle pełną majestatu.

Towarzystwo zatrzymało się właśnie przed „Tryumfem Śmierci.“ Ileż tam wesołych i krzykliwych uwag uczyniono po francusku lub po angielsku! Każdy starał się powiedzieć coś mądrego lub dowcipnego, a jeżeli można było, jedne i drugie. Naiwna zabawka z młodemi lwami i sokołami w ogródku kościelnym, została wyśmianą; fantastyczne zwierzęce cielska djabłów, dziecięce postacie dusz i straszna piekielna jazda, dała towarzystwu obszerne pole do dowcipkowania — nawet dreszczem przejmujące groby zwiększyły okrutną wesołość, aż nakoniec całe towarzystwo zatrzęsło się od śmiechu. Tylko czarno ubrana dama milczała, a gdy twarz odsłoniła, ujrzałem nadzwyczaj szlachetny profil, migdałowej formy oczy, matową cerę, artystycznie przypruszoną *Poudre'm de Riz*, młodzieńcze blond włosy!... Tylko do koła ust i oczu rzucone złośliwe zmarszczki, kazały się domyślać, że dama ta przeszła już niezawodnie swego życia południe.. Była to ex-cesarzowa Eugenia.

Chciałem się właśnie cofnąć, gdy jeden z panów należących do tego towarzystwa, w którem natychmiast poznałem paryskiego bulwarowicza, zbliżył się i zawiązał ze mną rozmowę. Widziałem go kilka razy w towarzystwie księcia Napoleona i zdziwiłem się, gdym go teraz spotkał w nieprzyjacielskim obozie, gdyż obie bonapartystowskie frakcje właśnie około owego czasu z przyczyny wyborów sromotnie się poróżniły. Rozważny Plon-Plon w swem prostem mieszkaniu przy bulwarze Malesherbos'a śmiał się wprawdzie wówczas na całej przestrzeni swej szerokiej napoleońskiej twarzy, rzucił pełen zadowolenia okiem w lustro i zawołał z pogardą: — *Voyez-vous ca? Pauvre petit Espagnol!* Mimowoli przypomniał mi się brukarz *Petit bonhomme* ze swą proroczą przygrywką:

„Il grandira, il grandira,
Car il est Espagnol!!“...

I rzeczywiście *Petit prince* paryski, stał się wielkim!.. Poznałem go dopiero, gdy mnie mój przyjaciel przedstawił.

Był on wysmukłym młodzieńcem. Zapięty czarny tużurek uwydatniał jego talię, mogącą wzbudzić zazdrość niemieckiego leitenanta, która jednocześnie wszelako jasno zdradzała jedyny niedostatek jego postaci — nieproporcjonalnie długi tułów. Ludzie grzeczni, którzy w każdem dziecku dopatrują się „rażącego podobieństwa do ojca, pospieszyli naturalnie i tutaj Napoleonowi III-mu złożyć w pośmiertnym podarunku zbyt długą talię. Zdaje mi się, że zarówno pod tym względem książę był podobnym do ojca jak i z mocnego silnie wywiniętego nosa, któremu również ci przyjemni ludzie, też same wmawiali pochodzenie. Jest to fałsz. Książę był podobny do cesarzowej, i tylko do niej, chociaż w nim, jako w mężczyznie, każdy rys silniej był nakreślony. Odziedziczył on po matce owalną twarz z niebieskiemi migdałowemi formy oczami, delikatnie nakreślone usta, podłużne uszy, małą rączkę i nieskończenie długie ramiona. Nawet cerę jej posiadał, jakkolwiek nieco ciemniejszą; a co się tyczy jego włosów, to nie mógłbym przysiądz, że ich czernonapoleoński kolor był naturalnym. Każdy zręczniejszy obserwator musiał bezwarunkowo poznać natychmiast, że w jego powierzchowności dwa żywioły walczyły o pierwszeństwo: wrodzone, hiszpańskie, rodzinne podobieństwo „Montijoów i naciągnięte, nabyte Napoleonidów. To ostatnie mianowicie zostało gwałtem jego ruchom narzucone. Być może, że w celu zadania kłamu tylokrotnie rozszerzanym wieściom co do zakwestjonowanego ojcowstwa bohatera z pod Sedanu — bohater z pod Saarbrücken starał się wszelkiemi siłami naśladować model ojcowski. Wiadomém jest, jak książę studjował swego ojca za życia w ruchach, ubiorze i sposobie wyrażania się. Gdy został osieroconym, wypytywał nieustannie generała Fleury, którego jako najserdeczniejszego przyjaciela swego ojca wysoce szanował, jak się cesarski papa jego przy tej lub owej sposobności zachowywał. Uważano, że go studjował. Włoskie przysłowie wszelako ma słuszność, — kopia nigdy nie może wyrównać oryginałowi. Wprawdzie Lulu dokładnie się wypytał o wszystko co dotyczyło jego ojca i naśladował go, ile się tylko dało — mimo to powłóczysty chód słabego na pęcherz ojca nie kwadrował bynajmniej z elastyczną postacią młodości. Napoleonowski zwyczaj (I go i III-go) zakładania rąk w znany sposób, sprawiał wrażenie korekty na tym nerwowym młodym panu, a gdy jeszcze do tego naśladował ojca przysłonięte spojrzenie, adoratorki jego żałowały tych pięknych matczynych oczu Że po skonie ojca nagle zaczął palić papierosy, mniejsza z tem — jakkolwiek to wszystko mówiąc słowami Hamleta, jest tylko smutku suknią i ozdobą; nieprzyjemnie jednakże raziła afektacja, którą starał się legitymować swoje pochodzenie powolną mową, gdyż takowa wraz z wszystkiemi innemi manierami i giestami stanowiły rażący kontrast z odziedziczoną gracją, szlachetnością, wysokością i naturalną, żywą młodzieńczością. Wesołem też było, jak co chwila wychodził z roli, potem się zastanawiał i zaraz następnie szybko przybierał prawdziwie napoleonowskie głos i ruchy, starając się tem niby wszystko znowu naprawić. Wesoły humor, na jaki ja właśnie natrafiłem zmuszał go często do podobnych zwrotów.

Zaraz na początku w sposobie w jaki mnie przywitał, był samym sobą, Hiszpanem, młodzieńcem. Wyciągnął ku mnie szybko swą rękę i uścisnął moją serdecznie. Gdy się uśmiechnął widziałem jego świecące zęby i czystą niebieskość szeroko rozwartych oczu. W tej samej chwili jednakże, jak gdyby mu matka tajemny znak dała, albo głos ojcowskiego napomnienia do porządku przywołał, zgasł miły wyraz jego twarzy, oczy się przymrużyły i znów stał się innym — nawskróś katolickim księciem, nawskróś pokutującym pretendentem, nawskróś najprawdziwszym Napoleonidą — słowem z oryginału stał się na wskróś kopią.

Od owego dnia upłynęło półtrzecia roku. Ten, który wówczas w rozkwicie młodości, pełen nadziei i planów, stał tutaj między grobami — padł pewnego wieczoru pod ciosem siedemnastu strzał, w południowo-afrykańskim Kraalu, nie o całe sto mil zaledwie odległego od owej wyspy, gdzie stryj jego potężnego swego ducha wzionął.

I znów stoję zamyślony przed obrazem, przed którym go po raz ostatni spotkałem. Nic się nie zmieniło. *Il Trionfo della Morte* zawsze jeszcze tak samo strasznie spogląda ze ściany. Ale gdy dreszczem przejęty spoglądam, podobny do tego *Vir Contemplativus* w obrazie, królowa przybiera rysy nieszczęśliwej matki, którą na tronie najwyższe szczęście spotkało, a której na wygnaniu najstraszniejsza boleść przypadła w udziale. A młody palatyn na ścianie, zda się, że przywdział maskę jej syna, z strzałą w plecach mający spaść z konia w ziejące zgnilizną przepaście grobowe. I słyszę jeszcze owe wesołe śmiechy, a w duszy jęczy żałośnie Savanaroli pieśń pokutna o tryumfie śmierci:

„Fummo gia Come voi siete,
Voi sarate come noi;
Morti siam come vedete,
Cosi morti vedrem voi!“

Bogumił Ritter.

Treść Nr. 1.

Z drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.